

**Juliusz Verne**

# **Martin Paz**

**opowiadanie historyczne**  
**Ameryka Południowa. Obyczaje peruwiańskie**

*Tytuł oryginału francuskiego:*  
*Martin Paz, nouvelle historique*  
*L'Amérique du Sud. Mœurs péruviennes*

**Tłumaczenie:**  
**Barbara Supernat (2003)**

## Wstęp

(pochodzi z wydania broszurowego)

Prezentowane w niniejszym tomie *Biblioteki Andrzeja* opowiadanie ukazało się po raz pierwszy drukiem w *Musée des Familles (Muzeum Rodzinnym)* w lipcu i sierpniu 1852 r. W Polsce nie było jeszcze nigdy publikowane. Brak zainteresowania nim ze strony naszych wydawców wynikał z faktu, iż utwór ten, pochodzący z początkowego etapu kariery pisarskiej Verne'a, jest jedynie literacką próbą, której daleko tak pod względem formy, jak i tematyki, do późniejszych osiągnięć autora *Tajemniczej wyspy*. Niemniej jednak, a może właśnie dlatego, powinno ono wzbudzić zainteresowanie miłośników Czarodzieja z Nantes. Na aspekt ten zwrócił już uwagę wydawca Verne'a, Jules Hetzel, który tak pisał w pierwszym książkowym wydaniu *Martina Paza*: "Jest to jeden z początkowych utworów autora, poprzedzający *Pięć tygodni w balonie*. Autor nie znalazł jeszcze gatunku literatury, który miał stworzyć, i który uczynił go sławnym. Jednak jest rzeczą ciekawą śledzić jego twórczość już od tych początkowych prób. Zawierają one już kilka zarodków, które czynią z utworów Juliusza Verne'a niespotykane dzieła w naszej literaturze, w związku z czym nie powinny być one zapomniane."

O ile poziom opowiadania, będący pochodną okresu, w którym powstało, nie budzi kontrowersji, o tyle nie można pominąć milczeniem pewnego elementu wymowy utworu. Nie da się ukryć, iż jest w nim wątek wyraźnie antyżydowski. Postać Żyda Samuela została tak nakreślona, iż zasługuje w oczach czytelników wyłącznie na odrazę. Jego córka Sara jest wprawdzie bohaterką pozytywną, ale sympatia autora do niej znajduje wytłumaczenie w tym samym duchu – naręczona André Certy potajemnie sympatyzuje i ostatecznie nawraca się na chrześcijaństwo.

W dodatku, padając martwa w objęcia tracącego już świadomość Indianina, chrzci go, otwierając mu tym samym drogę do zbawienia. Scena ta jest nie tylko natrętnie moralizatorska, ale i groteskowa.

W *Martinie Pazi* mamy więc do czynienia jednocześnie z antysemityzmem i antyjudyzmem. Stosunek do tych postaw był w XIX w. oczywiście diametralnie inny niż obecnie. W nas, ludziach żyjących po Holokauście, kreowanie takich wzorców musi budzić niesmak, sprzeciw, zdajemy bowiem sobie sprawę z tego, iż na takim właśnie podglebiu wyrosła ideologia, której ukoronowaniem był Oświęcim. Utworu literackiego nie można jednak rozpatrywać ahistorycznie. Przypisywanie współczesnych znaczeń do pojęć minionych jest posunięciem nieuprawnionym, wręcz nieuczciwym. Niechęć rasowa czy religijna nigdy nie była zjawiskiem pozytywnym, jednakże często wynikała ze stereotypów, nie zaś autentycznej zawiści, czy wręcz nienawiści. Zapewne wielu ówczesnych antysemitów zrewidowałoby swe poglądy, gdyby wiedziało, do czego doprowadzi przekazywana z pokolenia na pokolenie niechęć do potomków Abrahama.

Krzysztof Czubaszek

# I

Słońce kryło się za ośnieżonymi szczytami Kordyliarów. Pod pięknym peruwiańskim niebem przezroczysty woal nocy przepelniała atmosfera nasycona świetlistą świeżością. Była to pora, w jakiej można było korzystać z życia na modłę europejską, szukając na otwartych werandach dobroczynnych powiewów wiatru.

Podczas gdy pierwsze gwiazdy zaczęły wznosić się nad horyzontem, ulicami Limy przechadzali się, odziani w lekkie płaszcze, liczni spacerowicze, rozmawiając poważnie o najbardziej błahych sprawach. Na Plaza Mayor,<sup>1</sup> tym forum dawnego Miasta królów, panowało wielkie poruszenie wśród zgromadzonej tam ludności. Rzemieślnicy korzystali z dającej wytchnienie pory, aby przerwać swoje codzienne czynności, i krążyli wśród tłumu, zachwalając donośnie doskonałość swoich wyrobów. Kobiety, dokładnie okapturzone zasłaniającymi im twarze mantylami,<sup>2</sup> spacerowały kołyszącym się krokiem pomiędzy grupami palaczy. Kilka *señores*,<sup>3</sup> w balowych toaletach, których jedynym nakryciem głowy były bujne włosy, upiększone świeżymi kwiatami, paradowało w obszernych dorożkach. Indianie przechadzali się ze spuszczonego wzrokiem, zdając sobie sprawę z tego, iż są zbyt mali, aby mogli być dostrzeżeni, nie zdradzając ani gestami ani słowami tej tłumionej, pozerającej ich zawiści. Tym zachowaniem różnili się od Metysów, którzy podobnie jak i oni byli lekceważeni, jednak swoje niezadowolenie objawiali w sposób bardziej hałaśliwy.

Tymczasem Hiszpanie, ci dumni potomkowie Pizarra,<sup>4</sup> kroczyli z wysoko podniesionymi głowami, jak za czasów, kiedy ich przodkowie zakładali Miasto Królów. Tradycyjnie pogardzali wszystkimi bez wyjątku – i zwyciężonymi Indianami, i Metysami, urodzonymi z ich związków z tubylczą ludnością Nowego Świata. Indianie, jak wszystkie klasy społeczne zmuszone do poddaństwa, śniący jedynie o zerwaniu krępujących ich kajdan, w swej nienawiści przykładali jedną miarę zarówno do zwycięzców dawnego imperium Inków, jak i Metysów, będących swego rodzaju, pełną niezwykłej buty burżuazją.

Ale zarówno Metysi i Hiszpanie okazujący lekceważenie wobec Indian, jak i Indianie pałający nienawiścią do Hiszpanów, miotali się pomiędzy tymi dwoma, równie zaciekłymi, uczuciami.

Niedaleko ślicznej fontanny, która wznosiła się pośrodku Plaza Mayor, rozłożyła się grupa młodych ludzi. Okryci ponczami, czyli prostokątnymi, podłużnymi płachtami bawełny z wyciętymi otworami, przez które przekłada się głowę, ubrani w szerokie spodnie w różnokolorowe pasy, w kapeluszach o szerokich rondach wykonanych ze słomki Guayaquil – rozmawiali, krzyczeli i gestykulowali.

– Masz rację, André – przytaknął mały mężczyzna o służalczym wyglądzie, którego nazywano Millaflares.

Ten Millaflares był pasożytem André Certy, młodego Metysa, syna bogatego kupca, który został zabity podczas jednego z ostatnich buntów spiskowca Lafuente. André Certa odziedziczył wielką fortunę i łatwo cedował ją na swych przyjaciół, od których wymagał jedynie pokornej uniżoności w zamian za rozdawane garście złota.

– Czemuż służą te zmiany władzy, te wieczne przemowy, które tak wstrząsają Peru? – podjął głośnym głosem André. – Czy będzie rządził Gambarra czy Santa Cruz,<sup>5</sup> to nie ma żadnego znaczenia, jeśli nie panuje tu równość!

– Dobrze powiedziane, dobrze powiedziane! – wykrzyknął mały Millaflares, który nawet pod rządami egalitarnymi nigdy nie byłby w stanie dorównać rozumnemu człowiekowi.

– Jak to jest – kontynuował André Certa – że ja, syn kupca, mogę poruszać się jedynie

kolaską zaprzęzoną w muły? Czy moje statki nie spowodowały, że w tym kraju panuje dobrobyt i bogactwo? Czy użyteczna arystokracja piastów<sup>6</sup> nie jest warta wszystkich próżnych tytułów Hiszpanii?

– To hańba! – odpowiedział jakiś młody Metys. – Spójrzcie! Oto tam przejeżdża don Fernand swoim pojazdem zaprzężonym w dwa konie! Don Fernand d’Aguillo! Może zaledwie z trudnością utrzymać swego woźnicę, a przybywa puszyć się dumnie na placu! W porządku! Ale oto i drugi! Markiz don Végal!

W tym momencie wspaniała karoca wjeżdżała na Plaza Mayor. Był to pojazd markiza don Végala, Kawalera Zakonu Alcantara,<sup>7</sup> Zakonu Maltańskiego i Orderu Karola III. Ale ten wielki pan nie przyjeżdżał tutaj z nudów ani w celu zwrócenia na siebie uwagi. Smutne myśli kłębiły się pod tym straszliwie pomarszczonym czołem, i nawet nie słyszał zawistnych uwag Metysów, kiedy jego cztery konie torowały sobie przejście wśród tłumu.

– Nienawidzę tego człowieka! – powiedział André Certa.

– Długo go będziesz musiał nienawidzić! – odpowiedział mu jeden z młodych kawalerów.

– Nie, bo wszyscy ci szlachcice wystawiają na sprzedaż ostatnie cudowności swego luksusu, a ja mogę powiedzieć, dokąd wędrują ich srebra i klejnoty rodzinne!

– Prawda! Ty coś wiesz na ten temat, ty, który bywasz w domu Żyda Samuela!

– Tam, w księgach rachunkowych starego Żyda, zapisuje się wierzytelności arystokratów, a w jego sejfie składa się resztki tych wielkich fortun!... Dzień, w którym wszyscy Hiszpanie staną się takimi nędzaczami jak ich Cezar de Bazan,<sup>8</sup> będzie dla nas dniem radości!

– Przede wszystkim dla ciebie, André, ponieważ będziesz posiadał miliony – stwierdził Millaflares. – A jeszcze będziesz podwajając swoją fortunę!... Ano właśnie!... Kiedy poślubisz tę piękną córkę starego Samuela, która jest limanką aż po czubki palców, a Żydówką jedynie przez swoje imię Sara?

– Za miesiąc – odrzekł André Certa – i za miesiąc nie będzie w Peru fortuny mogącej się zmierzyć z moją!

– Ale dlaczego – zapytał jeden z młodych Metysów – nie poślubisz Hiszpanki wysokiego rodu?

– Pogardzam ludźmi tego rodzaju do tego stopnia, że ich nienawidzę!

André Certa nie chciał się przyznać, że został bezlitośnie odprawiony przez kilka szlacheckich rodzin, w które usiłował się wżenić.

W tym momencie André Certa został gwałtownie potrącony przez mężczyznę wysokiego wzrostu, o siwiejących włosach, ale którego masywne członki znamionowały muskularną siłę.

Ów człowiek, Indianin z gór, ubrany był w brązową bluzę, narzuconą na koszulę z grubego płótna o szerokim kołnierzu, rozpiętą na owłosionej piersi; jego krótkie spodnie w zielone prążki przyczepione były czerwonymi szelkami do pończoch w kolorze ziemistym; na stopach miał sandały zrobione ze skóry byka, a pod jego spiczastym kapeluszem błyszczały zwisające z uszu szerokie kolczyki.

Potrąciwszy André Certę, przyjrzał mu się dokładnie.

– Nędzny Indianinie! – krzyknął Metys, podnosząc rękę.

Jego towarzysze powstrzymali go, a Millaflares zawołał:

– André! André! Miej się na baczności!

– Przeklęty niewolnik, ośmielił się mnie szturchnąć!

– To szalenciec! To Sambo!

Sambo nie przestawał wpatrywać się w oczy Metysa, którego potracił specjalnie. Ten zaś, przepełniony gniewem, chwycił rękojeść sztyletu wsuniętego za pas i zamierzał rzucić się na napastnika, kiedy gardłowy okrzyk, podobny do głosu makolągwy peruwiańskiej,<sup>9</sup> wzbił się ponad wznieconą przez spacerowiczów wrzawę. Sambo zniknął.

– Brutal i tchórz! – wrzasnął André Certa.

– Pohamuj się – powiedział cicho Millaflares. – Opuśćmy Plaza Mayor. Limanki są tutaj zbyt nieprzystępne.

Grupa młodzieńców udała się więc w głąb placu. Zapadła noc, dzięki której limanki zupełnie zasługiwały na swoje miano “*tapadas*”,<sup>10</sup> bowiem nie można było wcale zauważyć ich twarzy pod okrywającymi je szczelnie mantylkami.

Na Plaza Mayor panowało jeszcze pełne ożywienie. Krzyki i hałas spotężniały. Konne straże, stojące na posterunku przed głównym portykiem pałacu wicekróla, położonym po północnej stronie placu, z trudem pozostawały nieruchomo wśród tego ruchliwego tłumu. Odnosiło się wrażenie, jakby reprezentanci najprzeróżniejszych rzemiosł wyznaczili sobie spotkanie na tym placu, który wydawał się być już jedynie olbrzymią wystawą różnego rodzaju artykułów. Parter pałacu wicekróla i podmurowanie katedry, zajęte przez sklepiki, czyniły z tego zespołu architektonicznego prawdziwy bazar oferujący wszelkie wytwory rejonu podzwrotnikowego.

Hałaśliwy był więc ten plac, ale kiedy dzwon z katedry odezwał się na *Anioł Pański*, cała wrzawa nagle uspokoiła się. Głośne wrzaski ustąpiły szeptom modlitw. Kobiety przerwały swój spacer i wyciągnęły różańce.

Podczas gdy wszyscy się zatrzymali i pochylili głowy, stara *dueña*,<sup>11</sup> która towarzyszyła młodej dziewczynie, próbowała utorować sobie drogę wśród tłumu. Wywołało to wiele nieprzyzwoitych słów skierowanych pod adresem tych dwóch kobiet, które zakłócały modlitwę. Dziewczyna chciała się zatrzymać, ale *dueña* pociągnęła ją jeszcze energiczniej.

– Widzicie tę córkę szatana? – szeptano wokół niej.

– Kim jest ta przeklęta tancerka?

– To jeszcze jedna z tych kobiet “*Carcaman*”!<sup>12</sup>

Dziewczyna zatrzymała się w końcu, cała zakłopotana.

Niespodziewanie jakiś poganiacz mułów chwycił ją za ramię i próbował zmusić, aby uklękła; ale zaledwie podniósł na nią rękę, powaliło go na ziemię silne ramię. To zdarzenie, szybkie jak błyskawica, wywołało na moment zamieszanie.

– Uciekaj panienko! – powiedział do ucha dziewczyny łagodny i pełen szacunku głos.

Dziewczyna, blada ze strachu, odwróciła się i zobaczyła młodego, wysokiego Indianina, który, skrzyżowawszy ramiona, ze spokojem i determinacją oczekiwał na swego przeciwnika.

– Na moją duszę, jesteśmy zgubione! – krzyknęła *dueña*.

I pociągnęła za sobą dziewczynę.

Poganiacz mułów podniósł się, cały potłuczony w wyniku upadku, ale oceniwszy, że bezpieczniej będzie nie domagać się rewanzu od młodego Indianina, zdecydowanego na wszystko, powrócił do swoich mułów, mruczając pod nosem bezsensowne groźby.

## II

Lima położona jest w dolinie rzeki Rimac, dziewięć mil od jej ujścia. Na północy i na wschodzie zaczynają się pierwsze pofałdowania terenu, stanowiące część wielkiego łańcucha

Andów. Dolina Lurigancho ukształtowana jest przez góry San Cristoval i Amancaes, które wznoszą się za Limą i kończą się na jej przedmieściach. Miasto rozciąga się na jednym brzegu rzeki. Drugi brzeg, na którym położone jest przedmieście San Lazaro, połączony jest z Limą mostem o pięciu przęsłach, których filary od strony górnego biegu opierają się prądowi dzięki trójkątnym krawędziom. Te usytuowane po stronie dolnego biegu rzeki oferują spacerowiczom ławki, na których eleganci rozkładają się w letnie wieczory, skąd mogą podziwiać piękną kaskadę.

Miasto liczy dwie mile długości ze wschodu na zachód i tylko milę i ćwierć szerokości od mostu do murów. Te wysokie na dwanaście stóp mury, grube na dziesięć u podstawy, zbudowane są z *adobes*, rodzaju cegieł suszonych w słońcu i zrobionych z glinki ceramicznej zmieszanej ze zmieloną słomą, a w związku z tym odpornych na trzęsienia ziemi. Mury okalające miasto, przebite siedmioma bramami i trzema tajemnymi przejściami, kończą się na swoim południowo-wschodnim krańcu małą cytadelą Świętej Katarzyny.

Takie jest dawne Miasto królów, założone przez Pizarra w 1534 roku, w dzień Trzech Króli. Było ono i jest w dalszym ciągu teatrem wiecznie odradzających się rewolucji.

Lima była kiedyś głównym składem celnym Ameryki na Pacyfik dzięki swojemu portowi Callao, zbudowanemu w 1779 roku w osobliwy sposób. Osadzono mianowicie na brzegu stary okręt pierwszej klasy,<sup>13</sup> wypełniony kamieniami, piaskiem oraz różnego rodzaju balastem. Wokół tego szkieletu stanowiącego trwałą podstawą, na której wznosi się molo Callao, wbito pale fundamentowe z odpornych na wodę drzew mangrowych, dostarczonych z Guayaquil.

Klimat tu panujący, bardziej umiarkowany i łagodny niż w Kartagenie<sup>14</sup> lub Bahii,<sup>15</sup> znajdujących się po drugiej stronie Ameryki, czyni z Limy jedno z najprzyjemniejszych miast Nowego Świata. Wiatr ma dwa kierunki, które się nie zmieniają – albo wieje z południowego zachodu i ochładza się, mijając Pacyfik, albo nadchodzi z południowego wschodu, nasiąknięty świeżością, którą zaczerpnął na mroźnych wierzchołkach Kordylierów.

Noce pod tą szerokością tropików są piękne, przynoszą tę dobroczynną rosę, która użyźnia glebę, wystawioną w ciągu dnia na promienie bezchmurnego nieba. Toteż z nadejściem wieczoru mieszkańcy Limy, w domach odświeżonych cieniem, urządzają nocne przyjęcia. Ulice bardzo szybko pustoszeją i co najwyżej jakiś amator wódki czy piwa zagląda jeszcze do tego czy innego zajazdu.

Tego wieczoru młoda dziewczyna, w towarzystwie dueñii, przybyła nie niepokojona na most nad Rimakiem. Nasłuchiwała najmniejszego hałasu, który wyostrzały jej własne emocje, nie usłyszała jednak nic prócz dzwonek u uprząży mułów, czy pogwizdywania jakiegoś Indianina.

Dziewczyna ta, o imieniu Sara, wracała do Żyda Samuela, swojego ojca. Ubrana była w plisowaną spódnicę ciemnego koloru, bardzo wąską u dołu, co zmuszało ją do stawiania małych kroczków, której zakładki były w połowie elastyczne, przez co nadawały jej ten subtelny wdzięk, tak charakterystyczny dla limanek. Spódnica, ozdobiona koronkami i kwiatami, po części przykryta była jedwabną mantylką, zdejmowaną przez głowę, którą nakrywał kaptur. Spod pełnej wdzięku odzieży ukazywały się niezwykle delikatne pończochy i satynowe pantofelki. Ramiona dziewczyny otaczały drogocenne bransolety. Cała osoba przeniknięta była tym czarem, który tak dobrze wyraża hiszpańskie słowo “donaire”.<sup>16</sup>

Millaflores dobrze powiedział. Narzeczona André Certy była Żydówką tylko z imienia, ponieważ była najwierniejszym typem tych wspaniałych señoras, których urody nie zdołają wyrazić żadne komplementy.

Dueña, stara Żydówka, na której twarzy widać było skąpstwo i zachłanność, była oddaną służącą Samuela, opłacaną odpowiednio do jej wartości.

W chwili, kiedy obie kobiety weszły na przedmieścia San Lazaro, jakiś mężczyzna ubrany w mnisi habit, z głową zasłoniętą kapturem, przeszedł obok nich, przyglądając się im uważnie. Człowiek ten, olbrzymiego wzrostu, posiadał jedną z tych wspaniałych twarzy, które tchną spokojem i dobrocią. Był to ojciec Joachim z Camarones. Przechodząc, rzucił Sarze porozumiewawczy uśmiech. Dziewczyna odpowiedziała mu uprzejmym znakiem dłonią i natychmiast spojrzała na swoją służącą.

– Więc to tak, señora? – ostrym tonem rzekła staruszka. – Nie wystarczy, że jest panienka obrażana przez tych synów Chrystusa! Jeszcze musi pozdrawiać księdza? Może któregoś dnia zobaczymy panienkę z różańcem w dłoni w czasie kościelnych uroczystości?

Kościelne ceremonie cieszyły się wielką popularnością wśród mieszkank Limy.

– Cóż za dziwaczne przypuszczenia! – odparła dziewczyna, czerwieniąc się.

– Tak dziwaczne jak prowadzenie się panienki! Co powiedziałyby pan Samuel, gdyby się dowiedział, co się wydarzyło dzisiejszego wieczoru?

– Czy mam się czuć winna tylko dlatego, że obraził mnie jakiś brutalny poganiacz mułów?

– Nie, señora – rzuciła staruszka, potrząsając głową – wcale nie mam na myśli poganiacza mułów.

– A więc może ten młodzieniec źle się zachował, broniąc mnie przed obelgami tego motłochu?

– Czy ten Indianin po raz pierwszy znalazł się na pani drodze? – zapytała dueña.

Na szczęście twarz młodej dziewczyny chroniła mantylka, bo nawet ciemność nie wystarczyłaby do ukrycia jej zmieszania pod badawczym spojrzeniem starej służącej.

– Zostawmy Indianina w spokoju tam gdzie jest – mówiła dalej ochmistrzyni. – Moją sprawą jest przypilnowanie go. Jeśli na coś się uskarżam, to na to, że aby nie przeszkadzać tym chrześcijanom, chciała panienka pozostać na ich modłach. Nie miała pani aby ochoty uklęknąć, tak jak oni? Ach, señora! Pani ojciec przepędziłby mnie w jednej chwili, gdyby się dowiedział, że tolerowałam podobne odstępstwo od wiary!

Ale dziewczyna już jej nie słuchała. Uwaga staruszki na temat młodego Indianina przywołała bardziej słodkie myśli. Wydawało się jej, że interwencja młodego człowieka była opatrnościowa i kilka razy odwracała się, aby zobaczyć, czy nie śledził jej z ukrycia. Sara miała w sobie pewną śmiałość, która niezwykle do niej pasowała. Wspaniała niczym Hiszpanka, jeśli zatrzymała wzrok na tym mężczyźnie, to dlatego, że był on dumny i nie zebrał o jej spojrzenie w nagrodę za obronę.

Wyobrażając sobie, że Indianin nie spuszczał z niej oczu, Sara wcale się nie myliła. Martin Paz, po udzieleniu pomocy dziewczynie, wołał się upewnić co do jej losu. Tak więc kiedy spacerowicze rozproszyli się, podążył za nią, nie będąc zauważonym.

Martin Paz był pięknym, młodym mężczyzną, godnie noszącym narodowy strój Indian z gór. Spod słomkowego kapelusza o szerokim rondzie wymykały się piękne, czarne włosy, których pukle harmonizowały z miedzianym odcieniem jego twarzy. Oczy błyszczały z nieskończoną łagodnością, a nos wznosił się nad ładnie wykrojonymi ustami, co jest dosyć rzadkie u przedstawicieli jego rasy. Był to jeden z tych odważnych potomków Manco Capaca,<sup>17</sup> a w jego żyłach musiała płynąć krew pełna żaru, która popycha do dokonywania wielkich rzeczy.

Martin Paz dumnie prezentował się w swoim olśniewająco kolorowym poncho. Za pas wsunięty miał jeden z tych malajskich sztyletów, straszliwych w wyćwiczonych rękach, stanowiących bowiem przedłużenie posługujących się nimi ramion. Na północy Ameryki, na

brzegach jeziora Ontario, Indianin ten byłby wodzem wędrownych plemion, z którymi Anglicy stoczyli tyle heroiczných bitew.

Martin Paz wiedział, że Sara była córką zamożnego Samuela i narzeczoną bogatego Metysa André Certy. Indianin zdawał sobie sprawę, że ze względu na swoje pochodzenie, pozycję i bogactwo nie mogła ona do niego należeć, lecz zapominał o tych wszystkich przeszkodach, aby napawać się jedynie własnym uniesieniem.

Pogrążony w myślach, Martin Paz przyspieszył kroku, wtem jednak został zatrzymany przez dwóch Indian, którzy do niego dołączyli.

– Martinie Paz – powiedział jeden z nich. – Czy nie powinienes jeszcze dzisiaj spotkać się z naszymi braćmi w górach?

– Spotkam się z nimi – chłodno odparł Indianin.

– Szkuner Annonciacion<sup>18</sup> pokazał się na wysokości Callao. Pohalsował<sup>19</sup> przez pewien czas, a później skrył się za cyplem i wkrótce zniknął. Z całą pewnością zbliży się do lądu u ujścia Rimacu i dobrze by było, żeby nasze czółna z kory ulżyły mu, przejmując jego towar. Musisz tam być!

– Martin Paz wie co ma czynić i robi to.

– Mówimy ci to w imieniu Sambo.

– A ja do was mówię w swoim własnym imieniu!

– Nie boisz się, że twoja obecność o tej godzinie na przedmieściu San Lazaro będzie dla niego niewytłumaczalna?

– Jestem tam, gdzie mi się podoba być.

– Przed domem Żyda?

– Ci z moich braci, którzy uważają to za coś złego, spotkają mnie tej nocy w górach.

Oczy trzech mężczyzn rozblysnęły i na tym się skończyło. Indianie przeszli z powrotem na stromy brzeg Rimacu i wkrótce odgłosy ich kroków zamilkły w ciemności.

Martin Paz zbliżył się szybko do domu Żyda. Budynek ten, podobnie jak wszystkie domy w Limie, miał tylko dwie kondygnacje. Na parterze zbudowanym z cegieł wznosiły się pokryte gipsem ściany ze splecionej trzciny. Cała ta część budynku, zdolna oprzeć się trzęsieniom ziemi, dzięki umiejętnemu pomalowaniu, imitowała warstwy cegieł położone na parterze. Kwadratowy dach pokryty był kwiatami i tworzył taras pełen zapachów.

Szeroka brama wjazdowa, znajdująca się między dwoma pawilonami, prowadziła na dziedziniec. Zgodnie ze zwyczajem pawilony nie posiadały żadnego okna wychodzącego na ulicę.

W parafialnym kościele wydzwoniła jedenasta godzina, kiedy Martin Paz zatrzymał się przed domostwem Sary. Wokół panowała głęboka cisza.

Dlaczego Indianin tkwił nieruchomo przed tymi murami? Ponieważ jakaś biała zjawa pojawiła się na tarasie pośród tych kwiatów, którym noc pozostawiła tylko nieokreślone kształty, nie zabierając niczego z zapachów.

Martin odruchowo podniósł do góry obie ręce i połączył je w geście podziwu.

Nagle biała zjawa pochyliła się, jakby się wystraszyła...

Martin Paz odwrócił się i stanął twarzą w twarz z André Certą.

– Od kiedy to Indianie spędzają noce na rozmyślaniu? – zapytał gniewnie Certa.

– Od czasów, kiedy Indianie stąpają po ziemi należącej do ich przodków – odparł Martin Paz.

André Certa zrobił krok w stronę swojego rywala, który stał bez ruchu.

– Nędzniku! Usuniesz mi się z tego miejsca?

– Nie – orzekł Martin Paz.

Dwa sztylety błysnęły w prawych dłoniach obu przeciwników. Byli tego samego wzrostu i wydawali się posiadać taką samą siłę.

André Certa szybko podniósł ramię, a jeszcze szybciej je opuścił. Jego sztylet napotkał malajski sztylet Indianina i Certa, trafiony w ramię, momentalnie upadł na ziemię.

– Na pomoc! Do mnie! – krzyknął.

Drzwi domu Żyda otworzyły się. Z sąsiedniego domu nadbiegli Metysi. Jedni puścili się za Indianinem, który szybko rzucił się do ucieczki, drudzy zajęli się rannym.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał jeden z nich. – Jeśli to marynarz, zaniemiemy go do szpitala Świętego Ducha. Jeśli to Indianin, do szpitala Świętej Anny.

Do rannego zbliżył się jakiś starzec i ledwie na niego spojrzął, zawołał:

– Proszę przenieść tego młodzieńca do mnie. Co za dziwne zdarzenie!

Tym starcem był Żyd Samuel, który w rannym rozpoznał narzeczonego swojej córki.

W tym czasie Martin Paz, dzięki ciemnościom i szybkości swojego biegu, miał nadzieję umknąć tym, którzy go ścigali. Chodziło tu o jego życie. Gdyby mógł wydostać się poza mury, byłby bezpieczny. Ale bramy miasta, zamykane o godzinie jedenastej wieczorem, otwierano dopiero przed czwartą rano.

Indianin dotarł do kamiennego mostu, którym już wcześniej przechodził. W tym momencie Indianie i kilku żołnierzy, którzy się do nich przyłączyli, prawie już go dopadli. Na domiar nieszczęścia na przeciwny koniec mostu wchodził patrol. Martin Paz, nie mogąc iść ani do przodu, ani zawrócić, przeskoczył przez balustradę i rzucił się w wartki nurt, rozbijający się o kamienne podłoże rzeki.

Obie ścigające grupy zbiegły w dół po skarpach przy moście, aby schwytać uciekiniera w chwili, gdy będzie się wydostawał na brzeg.

Lecz to na nic się nie zdało. Martin Paz nie pojawił się ponownie.

### III

André Certa, kiedy tylko znalazł się w domu Samuela i został ułożony na przygotowanym pośpiesznie łóżku, odzyskał zmysły i uścisnął dłoń starego Żyda. Wkrótce przybył lekarz zaalarmowany przez jednego ze służących. Według niego rana nie wydawała się poważna. Ramię Metysa przebite było w ten sposób, że ostrze prześlizgnęło się między tkankami. Za kilka dni André Certa powinien stanąć na nogi.

Kiedy Samuel i André Certa zostali sami, Metys zwrócił się do gospodarza:

– Mistrzu Samuelu, czy zechciałby pan zamurować drzwi prowadzące na taras?

– Czegóż się pan obawia? – zapytał zdziwiony Żyd.

– Obawiam się, że Sara wychodzi na taras jedynie po to, aby pozwalać się podziwiać Indianom! Ten człowiek, który mnie zaatakował, wcale nie był złodziejem – to był mój rywal, któremu tylko cudem się wymknąłem!

– Ach, na święte Tablice! – wykrzyknął Żyd. – Pan się myli! Sara będzie doskonałą żoną, a ja nie zapominam o tym, aby czyniła panu zaszczyt.

André Certa uniósł się na łokciu.

– Mistrzu Samuelu, jest pewna rzecz, o której nie pamięta pan wystarczająco dobrze – że

za rękę Sary płacę panu sto tysięcy piastrow.

– André Certa – odparł Żyd z chciwym uśmiechem – pamiętam tak doskonale, że jestem gotów wymienić to pokwitowanie na brzęczącą monetę.

Mówiąc to, Samuel wyciągnął ze swojego portfela dokument, który Certa odsunął dłonią.

– Nie dobijemy targu dotąd, dopóki Sara nie będzie moją żoną, a nie będzie nigdy, jeśli będę zmuszony konkurować z podobnym rywalem! Pan dobrze wie, mistrzu Samuelu, jakie są moje plany. Poślubiając Sarę, chcę dorównać całemu temu szlachetnemu towarzystwu, które spogląda na mnie z pogardą i lekceważeniem!

– I zdołasz to osiągnąć, André Certa, bowiem gdy już się pan ożeni, zobaczy pan naszych najdumniejszych Hiszpanów tłoczących się w pańskich salonach!

– Gdzie Sara była tego wieczoru?

– W izraelskiej świątyni, ze starą Ammon.

– Po co Sara ma w dalszym ciągu przestrzegać praktyk religijnych?

– Jestem Żydem – odparł Samuel – a czy Sara byłaby moją córką, gdyby nie wypełniała obowiązków mojej religii?

Żyd Samuel był człowiekiem podłym, handlującym wszystkim i wszędzie, w prostej linii potomkiem Judasza, który wydał swego mistrza za trzydzieści srebrników. Do Limy przybył przed dziesięciu laty. Kierując się gustem i wyrachowaniem, osiedlił się na krańcu przedmieścia San Lazaro i natychmiast rzucił się w wir podejrzanych spekulacji. Później stopniowo zaczął się otaczać wielkim luksusem. Jego dom był wspaniale utrzymany. Również liczna służba i wspaniałe powozy świadczyły o olbrzymich dochodach.

Kiedy Samuel osiedlił się w Limie, Sara miała osiem lat. Już wtedy, wdzięczna i uroczą, podobała się wszystkim i wydawała się być przedmiotem ubóstwienia Żyda. Kilka lat później jej uroda przyciągała spojrzenia wszystkich. Zrozumiałym więc było, że Metys André Certa uległ urokowi młodej Żydówki. Natomiast rzeczą niezrozumiałą była cena stu tysięcy piastrow za rękę Sary. Lecz ten kontrakt był utrzymywany w tajemnicy. Zresztą należało się tego spodziewać, że Samuel handluje tak samo uczuciami, jak miejscowymi wyrobami. Bankier, lichwiarz, kupiec, armator, miał talent czynienia interesów ze wszystkimi. Szkuner *Annonciacion*, który usiłował przybić tej nocy u ujścia rzeki Rimac, także należał do Samuela.

Pośród tych rozlicznych interesów, z powodu tradycyjnego uporu, człowiek ten wypełniał wszystkie praktyki religijne z wręcz zabobonną skrupulatnością, a jego córka była kształcona starannie w izraelskiej wierze.

Toteż, gdy w czasie tej rozmowy Metys okazał swe niezadowolenie w tej sprawie, starzec pozostał milczący i zamyślony. To André Certa przerwał milczenie, mówiąc:

– Czy pan zapomina, że powód, dla którego poślubiam Sarę, zmusza ją do przejścia na wyznanie katolickie?

– Ma pan rację – odrzekł smutno Samuel – ale na Biblię, Sara tak długo będzie Żydówką, dopóki będzie moją córką!

W tym momencie drzwi pokoju otworzyły się i wszedł majordomus.

– Czy morderca został zatrzymany? – zapytał Samuel.

– Wszystko wskazuje na to, że nie żyje! – odrzekł majordomus.

– Nie żyje! – powtórzył André Certa z odruchem radości.

– Osaczony między nami i oddziałem żołnierzy, był zmuszony przeskoczyć przez balustradę mostu i rzucić się w wody Rimacu.

– Ale jaki macie dowód, że nie dotarł do jednego z brzegów? – dopytywał się Samuel.

– Topnienie śniegu sprawiło, że w tym miejscu prąd był bardzo wartki – odparł majordomus. – Zresztą, stanęliśmy po obu stronach rzeki i uciekinier nie pokazał się. Pozostawiłem wartowników, którzy spędzą noc na obserwowaniu brzegów Rimacu.

– Doskonale – oświadczył starzec. – Sam sobie wymierzył sprawiedliwość! Rozpoznał go pan w czasie ucieczki?

– Oczywiście. To był Martin Paz, Indianin z gór.

– Czy człowiek ten od jakiegoś czasu szpiegował Sarę? – zapytał Żyd.

– Nie wiem – odpowiedział majordomus.

– Proszę sprowadzić starą Ammon!

Majordomus wycofał się.

– Ci Indianie – rzekł starzec – mają między sobą tajemne powiązania. Trzeba się dowiedzieć, czy ten człowiek nie jest już od dawna poszukiwany.

Weszła *dueña* i stanęła przed gospodarzem.

– Czy moja córka – zapytał Samuel – nie wie nic o tym, co się stało tego wieczoru?

– Trudno mi powiedzieć – odparła *dueña* – ale kiedy obudziły mnie krzyki służących, pobiegłam do pokoju *señory* i znalazłam ją prawie bez czucia.

– Mów dalej – rzekł Żyd Samuel.

– Na moje natarczywe pytania o przyczynę jej wzburzenia *señora* nie chciała nic odpowiedzieć. Położyła się do łóżka, odmawiając moich posług, i musiałam odejść.

– Czy często spotykała tego Indianina na swej drodze?

– Trudno powiedzieć, proszę pana! Jednak spotykałam go często na ulicach San Lazaro, a tego wieczoru to on stanął w obronie *señory* na Plaza Mayor.

– W obronie! Co to znaczy?

Stara opowiedziała scenę, która miała tam miejsce.

– Ach! Moja córka chciała upaść na kolana pośród tych wszystkich chrześcijan, a ja o niczym nie wiem! – wykrzyknął Żyd z wściekłością. – Chcesz zatem, żebym cię wypędził?

– Wybacz mi, panie!

– Wynoś się! – twardo rzucił starzec.

Stara wyszła cała przerażona.

– Sam pan widzi, że musimy się szybko pobrać! – zauważył André Certa. – Ale teraz potrzebuję odpoczynku i proszę o pozostawienie mnie samego.

Po tych słowach starzec powoli się wycofał. Niemniej jednak przed położeniem się do łóżka chciał uspokoić się co do stanu córki i po cichutku wszedł do jej pokoju. Sara spała nerwowym snem, wśród udrapowanych wokół niej drogich jedwabnych tkanin. Alabastrowa lampka zawieszona na arabeskach przy suficie dawała łagodne światło, a uchylone okno pozwalało przenikać poprzez opuszczone story świeżemu powietrzu, przesiąkniętemu zapachem aloesów i magnolii. Kreolski luksus przejawiał się w tysiącach dzieł sztuki, które dobry gust poustawiał w pokoju na finezyjnie rzeźbionych etażerkach. Można by rzec, iż w mglistych światłach nocy duch młodej dziewczyny kołysał się wśród tych cudowności.

Starzec zbliżył się do łóżka Sary i pochylił się, aby przyjrzeć się śpiącej. Młoda Żydówka wydawała się być niepokojona jakąś bolesną myślą i raz z jej ust wyrwało się nazwisko Martina Paza.

Samuel wrócił do swojego pokoju.

Z pierwszymi promieniami słońca Sara pośpiesznie wstała. Liberta, czarny Indianin przydzielony jej do służby, przybiegł do niej i zgodnie z rozkazami osiodłał muła dla niej a konia dla siebie.

Sara miała zwyczaj robienia porannych przejażdżek w towarzystwie służącego, całkowicie jej oddanego.

Założyła brązową spódnicę i kaszmirową mantylkę z długimi frędzlami. Schowała się pod szerokim rondem słomkowego kapelusza, pozwalając swobodnie osunąć się na plecy długim, czarnym warkoczom. Aby lepiej ukryć swoje myśli, włożyła sobie w usta papierosa z pachnącego tytoniu.

Znalazszy się już w siodle, Sara opuściła miasto i jechała przez pola, kierując się do portu Callao. W porcie panowało wielkie ożywienie. Straże przybrzeżne miały stoczyć walkę ze szkunerem *Annonciacion*, którego niezdecydowane manewry wskazywały na jakieś podstępne zamiary. *Annonciacion* wydawał się czekać u ujścia Rimacu na jakieś podejrzanе szalupy, ale zanim te do niego przybiły, musiał uciekać i wymknąć się łodziom portowym.

Na temat przeznaczenia tego szkunera krążyły różne plotki. Według jednej z nich był on wypełniony oddziałami Kolumbijczyków, którzy mieli zamiar zająć główne budynki Callao i w ten sposób pomścić hańbę, jakiej doznali żołnierze Bolívara,<sup>20</sup> którzy zostali sromotnie przepędzeni z Peru.

Według innej plotki szkuner po prostu zajmował się przemytem tkanin wełnianych z Europy.

Nie zajmując się tymi nowinami, bardziej lub mniej prawdziwymi, Sara, której przejażdżka do portu była tylko pretekstem, zawróciła do Limy i zatrzymała się blisko brzegu Rimacu.

Pojechała wzdłuż rzeki aż do mostu... Tam, w różnych miejscach na brzegu rzeki, zbierały się grupki żołnierzy i Metysów.

Liberta opowiedział dziewczynie wydarzenia, które miały miejsce w nocy. Zgodnie z jej rozkazem przepętał kilku żołnierzy przechylnych nad balustradą i dowiedział się, że Martin Paz nie tylko utopił się, ale nawet odnaleziono jego ciało.

Bliska zemdenia Sara, potrzebowała całej siły ducha, aby nie poddać się bólowi.

Wśród ludzi kłębiących się na brzegach zauważyła Indianina o ostrych rysach twarzy. Był to Sambo, który wydawał się być na progu rozpaczcy.

Sara, przechodząc obok starego górala, usłyszała:

– Co za nieszczęście! Co za nieszczęście! Zabili syna Sambo! Zabili mojego syna!

Młoda dziewczyna zebrała się w sobie i dała znak Libercie, aby się za nią udał. Tym razem, nie przejmując się, że zostanie dostrzeżona, udała się do kościoła Świętej Anny, oddała swego wierzchowca Indianinowi, weszła do katolickiej świątyni, poprosiła ojca Joachima i, klękawszy na kamiennych płytach, modliła się za duszę Martina Paza.

## IV

Każdy inny na miejscu Martina Paza zginąłby w wodach Rimacu. Aby uniknąć śmierci, potrzebował swojej zadziwiającej siły, swojej nieprzezwyężonej woli, a zwłaszcza tego opanowania, które jest jednym z darów wolnych Indian Nowego Świata.

Martin Paz wiedział, że żołnierze skoncentrowali swoje wysiłki, aby go schwytać pod mostem, gdzie prąd wydawał się niemożliwy do pokonania. Jednak kilkoma silnymi ruchami

ramion udało mu się go poskromić. Znajdując mniej oporu w głębszych warstwach wody, mógł dostać się na brzeg i przycupnąć za kępą drzew mangrowych.

Ale co robić dalej? Żołnierze mogliby zmienić zdanie i pójść w górę rzeki. Martin Paz zostałby niechybnie schwytany. Szybko podjął decyzję: postanowił wrócić do miasta i tam się ukryć.

Dla uniknięcia spotkania z kilkoma spóźnionymi krajowcami, Martin Paz musiał podążyć jedną z najdłuższych dróg. Wydawało mu się jednak, iż jest śledzony. Nie było się nad czym zastanawiać. Jego oczom ukazał się jeszcze jasno oświetlony dom. Brama wjazdowa była otwarta dla pojazdów, które właśnie opuszczały dziedziniec, odwożąc do domów osobistości hiszpańskiej arystokracji.

Martin Paz, nie zauważony przez nikogo, wślizgnął się na teren tego domostwa. Prawie natychmiast po jego wejściu bramy zostały zamknięte. Wszedł zwinnie po kosztownych schodach z drzewa cedrowego, ozdobionych cennymi obiciami. Jeszcze oświetlone salony były całkowicie puste. Minął je z prędkością błyskawicy i w końcu ukrył się w jakimś ciemnym pokoju.

Wkrótce ostatnie świeczniki zostały pogaszone i w domu zapanowała cisza.

Martin Paz zajął się więc rozpoznawaniem miejsca. Okna tego pokoju wychodziły na wewnętrzny ogród. Ucieczka wydawała mu się więc możliwa i właśnie się do niej przymierzał, kiedy usłyszał te słowa:

– *Señor*,<sup>21</sup> zapomniał pan ukraść diamenty, które zostawiłem na tym stole!

Martin Paz odwrócił się. Mężczyzna o dumnym wyglądzie pokazywał mu palcem szkatułkę.

Tak znieważony Martin Paz zbliżył się do Hiszpana, którego zimna krew wydawała się być niewzruszona, i wyciągając sztylet, który zwrócił przeciwko sobie, powiedział głuchym głosem:

– *Señor*, jeśli powtórzy pan podobne słowa, zabiję się u pańskich stóp!

Zdziwiony Hiszpan przyjrzał się uważniej Indianinowi i poczuł doń w sercu rodzaj sympatii. Podeszedł do okna, zamknął je cicho, i wracając do Indianina, który upuścił sztylet na podłogę, zapytał:

– Kim pan jest?

– Indianinem, nazywam się Martin Paz... Jestem ścigany przez żołnierzy, ponieważ biłem się z Metysem, który mnie zaatakował i którego powaliłem na ziemię ciosem sztyletu! Ten Metys jest narzeczonym dziewczyny, którą kocham! Teraz, *señor*, może mnie pan oddać w ręce moich nieprzyjaciół, jeśli uzna pan to za słuszne!

– Panie – odparł zwyczajnie Hiszpan – jutro wyjeżdżam do wód, do Chorillos.<sup>22</sup> Jeśli ma pan ochotę mi towarzyszyć, będzie pan jednocześnie z dala od wszelkich pościgów i nigdy nie będzie się pan mógł uskarżać na gościnność markiza don Végala!

Martin Paz skłonił się chłodno.

– Aż do jutra może pan spoczywać na tym łóżku – ciągnął don Végala. – Nikt na świecie nie domyśli się pańskiej kryjówki.

Hiszpan opuścił pokój i pozostawił Indianina wzruszonego tym szlachetnym zaufaniem. Tymczasem Martin Paz, powierzając siebie opiece markiza, spokojnie zasnął.

Nazajutrz o wschodzie słońca markiz wydał ostatnie rozkazy dotyczące swojego wyjazdu i nakazał poprosić Żyda Samuela, aby przybył do niego. Wcześniej jednak udał się na pierwszą poranną mszę.

Był to zwyczaj ogólnie praktykowany przez całą arystokrację peruwiańską. Od założenia Lima była całkowicie katolicka. Poza licznymi kościołami znajdowały się tu jeszcze dwadzieścia dwa klasztory, siedemnaście opactw i cztery domy rekolekcyjne dla kobiet, które nie składały ślubowania. Każda z tych instytucji posiadała osobną kaplicę, w związku z czym w Limie istniało ponad sto miejsc przeznaczonych do praktykowania religii, w których ośmiuset księży świeckich i duchownych oraz trzysta zakonnic, braci i siostr laickich obsługiwało religijne ceremonie.

Don Végal, wchodząc do kościoła Świętej Anny, z miejsca zauważył klęczącą dziewczynę, pogrążoną w modlitwie i zalaną łzami. Wydawała się przeżywać tak wielki ból, że markiz nie mógł się temu przyglądać obojętnie i uznał za wskazane skierować do niej kilka pocieszających słów. Wtedy jednak nadszedł ojciec Joachim i zwrócił się do niego cichym głosem:

– Don Végal! Błagam, proszę się do niej nie zbliżać!

Następnie dał znak Sarze, która podążyła za nim do pustej i ciemnej kaplicy.

Don Végal skierował się do ołtarza i wysłuchał mszy. Wracając, mimowolnie myślał o tej młodej dziewczynie, której obraz głęboko wrył się w jego pamięć.

W salonie zastał Żyda Samuela, który przybył na jego wezwanie. Wydawało się, że Samuel zapomniał o nocnych wydarzeniach. Jego twarz ożywiona była nadzieją zarobku.

– Czego pan sobie życzy, Wasza Wielmożność? – zapytał Hiszpana.

– Za godzinę potrzebuję trzydzieści tysięcy piastrów.

– Trzydzieści tysięcy piastrów!... A któż by tyle posiadał?... Na świętego króla Dawida, zdobyć tyle jest bardziej niemożliwe, niż Wasza Wysokość może sobie wyobrazić!

– Oto kilka klejnotów wielkiej wartości – kontynuował don Végal, nie zwracając uwagi na słowa Żyda. – Poza tym mogę panu sprzedać po niskiej cenie znaczny kawał ziemi niedaleko Cuzco...[23](#)

– Ach, *señor*! – wykrzyknął Samuel. – Grunty nas rujną! Nie mamy już dość rąk do ich uprawiania. Indianie wycofali się w góry i zbiory nie pokrywają nawet tego, co kosztowały.

– Na ile wycenia pan te diamenty? – zapytał markiz.

Samuel wyciągnął z kieszeni małą, precyzyjną wagę i zabrał się z wielką skrupulatnością do ważenia. W trakcie wykonywania tej czynności mówił i zgodnie ze swoim zwyczajem obniżał wartość zastawu, który mu zaoferowano.

– Diamenty!... Kiepska inwestycja!... Czy przyniosą korzyści?... Tak drogo pogrzebać swoje pieniądze!... Musiał pan zauważyć, że ten nie jest doskonałej przejrzystości... Czy zdaje sobie pan sprawę, że nie będzie mi łatwo sprzedać tak kosztowne ozdoby?. Zmuszony będę wysłać te towary aż do Stanów Zjednoczonych!... Amerykanie je kupią z całą pewnością, ale po to, aby je odsprzedać tym synom Albionu. Oni pragną, i to zresztą słusznie, otrzymać uczciwe zlecenie, a to oczywiście spada na moje barki... Ja myślę, że dziesięć tysięcy piastrów zadowoli Waszą Wysokość!... Bez wątpienia to mało, ale...

– Czyż nie powiedziałem – odparł Hiszpan z głęboką pogardą – czyż nie powiedziałem, że dziesięć tysięcy piastrów mnie nie zadawała?

– *Señor*, nie mogę dać nawet pół reala[24](#) więcej!

– Proszę zabrać te klejnoty i przekazać mi tę sumę natychmiast. Dla uzupełnienia trzydziestu tysięcy piastrów, których potrzebuję, weźmie pan wystarczającą hipotekę na ten dom... Wydaje się panu solidny?

– Ech, *señor*, w tym mieście narażonym na trzęsienia ziemi nie wiadomo, kto żyje, ani

kto umiera, co stoi, ani co pada!

Mówiąc to, Samuel pozwolił sobie przytupnąć parę razy obcasami, aby sprawdzić solidność parkietów.

– Jednakże, aby wyświadczyć Waszej Wysokości przysługę – mówił dalej Żyd – zgadzam się na wszystko, czego sobie pan życzy, mimo że w tym momencie niechętnie pozbywam się brzęczącej monety, ponieważ wydaję moją córkę za kawalera André Certę... Pan go zna, *señor*?

– Nie znam go, ale proszę o bezzwłoczne przesłanie mi kwoty, którą uzgodniliśmy. Proszę zabrać te klejnoty!

– Czy potrzebuje pan pokwitowania? – zapytał Żyd.

Don Végál nie odpowiedział i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

– Dumny Hiszpan! – mruczał Samuel pod nosem. – Pragnę zdruzgotać twoją butę, podobnie jak zniszczyć twoje bogactwo! Na Salomona! Jestem genialnym człowiekiem, ponieważ moje interesy idą w parze z moimi uczuciami!

Don Végál, po opuszczeniu Żyda, znalazł Martina Paza w stanie głębokiego przygnębienia.

– Co panu jest? – zapytał z przejęciem.

– *Señor*, to właśnie córkę tego Żyda kocham!

– Żydówka! – rzekł don Végál z uczuciem odrazy, nad którym nie mógł zapanować.

Widząc jednak smutek Indianina, dodał:

– Wyjeżdżamy przyjacielu i jeszcze raz porozmawiamy o tych wszystkich sprawach!

Godzinę później Martin Paz, ubrany w nie swoje odzienie, opuszczał miasto, towarzysząc don Végálowi, który nie zabierał ze sobą nikogo ze swoich ludzi.

Kąpieliska morskie w Chorillos położone są zaledwie dwie mile od Limy. Ta parafia indiańska posiada ładny kościół. Podczas ciepłych sezonów jest miejscem spotkań eleganckiego społeczeństwa Limy. Publiczne domy zabronione w Limie, są otwarte w Chorillos przez całe lato. *Señoras* pałają tutaj niewyobrażalnym zapałem, czyniąc co chcąc ze swoimi uroczymi partnerami. Niejeden bogaty kawaler zobaczył na własne oczy, jak jego fortuna ulatniała się w kilka nocy.

W tym czasie w Chorillos było jeszcze mało gości, toteż don Végál i Martin Paz, zatrzymawszy się w małym domku zbudowanym nad brzegiem morza, mogli wieść spokojne życie, podziwiając rozległy widok Pacyfiku.

Markiz don Végál, należący do jednej z najstarszych rodzin hiszpańskich w Peru, widział w sobie koniec wspaniałej linii rodu, z którego słusznie był dumny... Na jego twarzy można było dostrzec ślady głębokiego smutku. Przez jakiś czas był zamieszany w sprawy polityczne, po których poczuł niewysłowiony wstręt do tych niekończących się rewolucji przeprowadzanych z powodu osobistych ambicji, uciekł więc w swego rodzaju samotność, którą z rzadka przerywały jedynie obowiązki czysto kurtuazyjne.

Olbrzymia fortuna don Végála zniknęła z dnia na dzień. Zaniedbanie posiadłości, spowodowane brakiem rąk do pracy, zmuszało go do zaciągania kosztownych pożyczek. Perspektywa bliskiej ruiny nie przerażała go jednak. Naturalna hiszpańskiej rasie bez troska, połączona z nudą bezużytecznej egzystencji, uczyniła go człowiekiem mocno niewrażliwym na problemy przyszłości. Kiedyś był mężem wspaniałej kobiety, ojcem uroczej córki. W następstwie straszliwej katastrofy wydarto mu te dwa obiekty jego miłości!... Od tej pory żaden uczuciowy związek nie łączył go ze światem, a on pozwalał swemu życiu toczyć się

według woli przypadków.

Don Végal sądził, iż jego serce jest już zupełnie nieczułe, kiedy poczuł na nowo jego bicie w momencie zetknięcia się z Martinem Pazem... Ta ognista natura wznieciła płomień pod popiołem. Dumna postawa Indianina odpowiadała rycerskiemu hidalgo.<sup>25</sup> Poza tym don Végal był zmęczony arystokratami hiszpańskimi, do których zupełnie nie miał zaufania, oraz zdegrustowany egoistycznymi Metysami, którzy chcieli dorównać jego pozycji. Markizowi sprawiało przyjemność związanie się z tą pierwotną rasą, która tak mężnie broniła amerykańskiej ziemi przed żołnierzami Pizarra.

Według nowin, jakie otrzymał markiz, w Limie Indianin uchodził za zmarłego. Jednakże don Végal, widząc, że przywiązanie Martina Paza do Żydówki jest gorsze nawet od samej śmierci, postanowił uratować go podwójnie, pozwalając córce Samuela wyjść za André Certę.

Tak więc, kiedy Martin Paz odczuwał bezgraniczny smutek ogarniający całe jego serce, markiz unikał wszelkich aluzji do przeszłości i wciągał Indianina w obojętne tematy.

Jednak pewnego dnia don Végal, zasmucony jego myślami, powiedział:

– Przyjacielu mój, dlaczego poprzez pospolite uczucie wypierasz się szlachetności swojej natury? Czy twoim przodkiem nie był ten odważny Manco Capac, którego patriotyzm wyniósł do rangi bohaterów? Jaką piękną rolę miałby do odegrania ten człowiek, gdyby nie dał się powalić nikczemnej namiętności! Czy nie nosisz w sercu myśli o odzyskaniu pewnego dnia przez wasz kraj niepodległości?

– Pracujemy nad tym, *señor*, a dzień, w którym podniosą się wszyscy moi bracia, być może jest już bliski.

– Rozumiem pana! Mówi pan o tej podziemnej wojnie, którą wasi bracia przygotowują w górach! Na umówiony sygnał zjedną do miasta z bronią w ręku... i zostaną pokonani, tak jak to zawsze bywało! Widzi pan, jak wasze interesy giną pośród tych odwiecznych rewolucji, których teatrem jest Peru, rewolucji, które gubią Indian i Hiszpanów na korzyść Metysów!

– Uratujemy nasz kraj! – zawołał Martin Paz.

– Tak, uratuje go pan, jeśli dobrze zrozumie swoją rolę! Proszę mnie posłuchać, mój panie, którego kocham jak własnego syna! Mówię o tym z wielkim bólem, ale my, inni Hiszpanie, zdegenerowani synowie potężnej rasy, nie mamy już wystarczającej energii, aby odbudować państwo. Do was więc należy zatriumfowanie nad tym nieszczęsnym *amerykanizmem*, który dąży do pozbycia się wszystkich obcych kolonistów! Tak, niech pan wie o tym! Starożytne peruwiańskie imperium mogłaby uratować jedynie europejska imigracja. Zamiast tej wojny wewnętrznej, którą przygotowujecie i której celem jest wyniszczenie wszystkich klas, z wyjątkiem jednej, wyciągnijcie szczerze ręce do pracującej ludności Starego Świata!

– Indianie, *señor*, będą zawsze widzieć nieprzyjaciela w cudzoziemcach, jacy by oni nie byli, i będą zawsze cierpieć, widząc, że bezkarnie oddycha się powietrzem ich gór. Rodzaj władzy, jaki na nich wywieram, pozostanie bez efektu aż do dnia, w którym przysięgnę śmierć ich gnębicielom. A zresztą, kimże ja teraz jestem? – dorzucił Martin Paz z głębokim smutkiem. – Zbiegiem, który nie przeżyłby trzech godzin na ulicach Limy!

– Przyjacielu, musi mi pan przyrzec, że nigdy pan tam nie wróci....

– Ech! Czyż mógłbym panu przyrzec podobną rzecz? Ja przemawiam tylko sercem!

Don Végal nie odezwał się. Namiętność młodego Indianina rosła z dnia na dzień. Markiz drżał na myśl, że gdyby pojawił się w Limie, wystawiłby się na pewną śmierć... We wszystkich swoich pragnieniach pośpieszał, całym swoim wysiłkiem chciał przyspieszyć małżeństwo tej Żydówki!

Aby samemu upewnić się co do stanu rzeczy, pewnego poranka opuścił Chorillos i udał się do miasta. Tam dowiedział się, że André Certa wykaraskał się ze swoich ran i stanął na nogi, a jego zbliżający się ślub był tematem wszystkich rozmów.

Don Végál pragnął poznać tę dziewczynę, ukochaną Martina Paza. Wieczorem udał się więc na Plaza Mayor, gdzie jak zawsze tłum był bardzo liczny. Spotkał tam ojca Joachima, swego starego przyjaciela. Jakież było zdziwienie księdza, kiedy don Végál oznajmił mu, że Martin Paz żyje! Z jaką gorliwością duchowny obiecał czuwać nad młodym Indianinem i przekazywać markizowi interesujące go nowiny!

Nagle wzrok don Végála przeniósł się na młodą dziewczynę, owiniętą w czarną mantylkę, siedzącą w głębi dorożki.

– Kim jest ta piękna osóbką? – spytał ojca Joachima.

– To narzeczona André Certy, córka Żyda Samuela.

– A więc to ona! Córka Żyda!

Markiz z trudem opanował swoje zdziwienie. Uściskawszy dłoń ojca Joachima, ruszył w powrotną drogę do Chorillos.

Jego zaskoczenie było zrozumiałe, ponieważ rozpoznał w domniemanej Żydówce młodą dziewczynę, modlącą się w kościele Świętej Anny.

## V

Od czasu gdy oddziały kolumbijskie, przekazane przez Bolívara pod rozkazy generała Santa Cruz, zostały przepędzone z Dolnego Peru, kraj ten dotąd niepokojony przez rewolty wojskowe odzyskał pewien spokój i równowagę. Istotnie, osobiste ambicje nie rzucały się w oczy, a prezydent Gambarra wydawał się niewzruszony w swoim pałacu przy Plaza Mayor. Z tej strony nie należało się niczego obawiać. Prawdziwe niebezpieczeństwo, nieuchronne, nie pochodziło z tych buntów, równie szybko gaszonych jak rozpalanych, a które wydawały się schlebiać upodobaniom Amerykanów do wojskowych parad.

Otóż to niebezpieczeństwo umknęło spojrzeniom Hiszpanów, zbyt wysoko postawionych, aby je dostrzec, a także uwadze Metysów, którzy nigdy nie chcieli widzieć tego, co się działo poza nimi.

Tymczasem dawało się obserwować niezwykle poruszenie wśród Indian z miasta, którzy często spotykali się z mieszkańcami gór. Ludzie wydawali się otrząsać ze swej naturalnej apatii. Zamiast zawijać się w swoje poncha i wystawiać nogi do słońca, rozchodzili się po wsi, zatrzymując jedni drugich, rozpoznając się po umówionych znakach, i nawiedzali gospody o podejrzaną reputację, w których mogli bezpiecznie się zatrzymywać.

Ten ruch dało się głównie zauważyć na jednym z placów oddalonych od miasta. Na rogu tego placu wznosił się dom, składający się tylko z parteru, którego dosyć mizerny widok szokował przechodniów.

Była to najgorszego gatunku tawerna, prowadzona przez starą Indiankę, która oferowała najbardziej zaufanym klientom piwo ze sfermentowanej kukurydzy i napój wytwarzany z trzciny cukrowej.

Indianie zbierali się w tym miejscu tylko w pewnych godzinach, kiedy to, jako sygnał, nad dachem oberży wznosiła się wysoka tyczka. Dlatego też tubylcy wszelkich profesji – przewodnicy karawan, poganiacze mułów, woźnice – wchodzili jeden po drugim i szybko znikali w wielkiej sali. Gospodyni wydawała się być bardzo zaaferowana i, zostawiając służącą troskę o sklepik, sama obsługiwała swoich stałych klientów.

Kilka dni po zniknięciu Martina Paza w sali gospody miało miejsce liczne zgromadzenie.

W ciemnościach, pogłębionych jeszcze przez dym tytoniowy, z trudem można było rozpoznać bywalców tawerny... Około pięćdziesięciu Indian siedziało wokół długiego stołu: jedni żuli rodzaj liści herbaty, zmieszanej z kawałkiem pachnącej ziemi; inni popijali z dużych dzbanków sfermentowaną kukurydzę. Te zajęcia w żaden sposób ich jednak nie rozpraszały i z uwagą słuchali słów jednego z Indian.

Był to Sambo, którego spojrzenie było dziwnie nieruchome.

Po starannym przyjrzeniu się słuchaczom, Sambo zabrał głos:

– Synowie Słońca mogą mówić o swoich sprawach. Nie ma zdradzieckiego ucha, które mogłoby ich podsłuchać. Na placu kilku z naszych przyjaciół, przebranych za ulicznych śpiewaków, przyciąga uwagę przechodniów wokół siebie, a my możemy czuć się całkiem swobodnie.

Istotnie, na zewnątrz rozlegały się dźwięki mandoliny.

Indianie w obozisku, czując się całkowicie bezpieczni, z najwyższą uwagą słuchali słów Samby, w którym pokładali całe zaufanie.

– Jakie nowiny Sambo może nam przekazać o Martinie Pazi? – zapytał jeden z Indian.

– Żadnych. Żyje czy nie żyje?... Tylko Wielki Duch może to wiedzieć. Czekam na kilku naszych braci, którzy przemierzyli rzekę aż do jej ujścia. Być może znajdą ciało Martina Paza!

– To był dobry wódz! – rzekł Manangani, zawzięty Indianin, bardzo przejęty. – Dlaczego nie był na swoim stanowisku w dzień, kiedy szkuner przywiózł nam broń?

Sambo nie odpowiedział i spuścił głowę.

– Czy moi bracia nie wiedzieli – ciągnął Manangani – że nastąpiła wymiana ognia między *Annonciacion* i strażą przybrzeżną, i że zdobycie tego statku miało pokrzyżować wszystkie nasze plany?

Słowa Indianina spotkały się z potwierdzającym pomrukiem.

– Ci z moich braci, którzy chcą poczekać z osądem, będą mile widziani! – powiedział Sambo. – Kto wie, czy mój syn nie pojawi się pewnego dnia!... A teraz słuchajcie: jesteśmy w posiadaniu broni, którą przysłano nam z Sechury, <sup>26</sup> została ukryta w Kordylierach i gotowa jest spełnić swoje zadanie, kiedy wy będziecie przygotowani, aby spełnić wasze!

– A co nas wstrzymuje? – krzyknął młody Indianin. – Naostrzyliśmy nasze noże i czekamy.

– Musimy czekać na stosowny moment – odparł Sambo. – Czy moi bracia wiedzą, którego nieprzyjaciela ich ramię ma ugodzić w pierwszej kolejności?

– Metysów, którzy traktują nas jak niewolników! – powiedział jeden z obecnych. – Tych zuchwalców, którzy biją nas ręką i batem, jak jakieś narowiste muły!

– Oczywiście! – wmieszał się inny. – Tych spekulantów wszelkich bogactw ziemskich!

– Mylicie się! Wasze pierwsze uderzenie musi trafić gdzie indziej! – podjął Sambo ożywiając się. – To nie ci ludzie ośmielili się trzysta lat temu postawić stopę na ziemiach waszych przodków! Ci bogacze nie są tymi, którzy wpędzili do grobu synów Manco Capaca. Nie! To są ci dumni Hiszpanie, prawdziwi zwycięzcy, których jesteście rzeczywistymi niewolnikami! Jeśli nie posiadają już bogactw, sprawują jednak władzę, i wbrew wyzwoleniu peruwiańskiemu deptają nogami nasze niezbywalne prawa! Zapomnijmy zatem, kim teraz jesteśmy, aby móc przypomnieć sobie, kim byli nasi ojcowie!

– Tak! Tak! – zawołali wszyscy zgromadzeni, przytupując nogami na znak aprobaty.

Po kilku minutach milczenia Sambo, przepytując niektórych spiskowców, upewnił się, że

ich przyjaciele z Cuzco i z całej Boliwii gotowi byli uderzyć jak jeden mąż.

Następnie mówił dalej z uniesieniem:

– A nasi bracia z gór, dzielny Manangani, jeśli mają w sercu nienawiść podobną do twojej, odwagę równającą się twojej odwadze, czyż nie spadną na Limę jak lawina ze szczytów Kordyliarów?

– Sambo nie poskarży się na ich odwagę w wyznaczonym dniu – odparł Manangani. – Niechaj Sambo opuści miasto. Nie będzie musiał iść daleko, aby zobaczyć wokół siebie wyłaniających się zewsząd Indian pałających zemstą! W wąwozach San Cristoval i Amancaes wszyscy śpią w swoich ponchach, ze sztyletami za pasem, oczekując, że dostaną do rąk karabiny! Oni również nie zapomnieli, że mają pomścić na Hiszpanach klęskę Manco Capaca.

– Dobrze Manangani – odparł Sambo. – To Bóg zemsty przemawia twoimi ustami! Moi bracia dowiedzą się wkrótce, co ich wodzowie zdecydowali. Prezydent Gambarra stara się umocnić swoją władzę. Bolivar jest daleko, Santa Cruz przepędzony. Możemy zastosować pewne uderzenie. Za kilka dni święto *Amancaes*<sup>27</sup> zwoła naszych cięższych na zabawy. Tak więc każdy niech będzie gotów do wymarszu, aby nowina dotarła do najbardziej oddalonych wiosek Boliwii!

W tym momencie do wielkiej sali weszło trzech Indian. Sambo ruszył żywo w ich kierunku:

– No i co? – zapytał.

– Nie odnaleźliśmy ciała Martina Paza – odpowiedział jeden z nich. – Przesądowaliśmy rzekę we wszystkich kierunkach, nasi najzręczniejsi nurkowie przeszukali ją starannie, i myśleliśmy, że syn Samba nie mógł zginąć w wodach Rimacu.

– Zabili go więc! Co się z nim stało? Och, biada im, jeśli zabili mojego syna!... Niechaj moi bracia spokojnie się rozejdą! Niech każdy wraca na swoje stanowisko, obserwuje, czuwa i czeka!

Indianie wyszli i rozproszyli się. Sambo został sam z Mananganim, który zapytał go:

– Czy Sambo wie, jakie uczucie poprowadziło tego wieczoru jego syna do dzielnicy San Lazaro? Czy Sambo jest pewien swojego syna?

Błyskawica rozświetliła oczy Indianina. Manangani cofnął się.

Lecz Indianin opanował się i rzekł:

– Gdyby Martin Paz zdradził swoich braci, w pierwszym rzędzie zabiłbym tych, których obdarzył on swoją przyjaźnią, wszystkich, których obdarzył swoją miłością. Następnie zabiłbym jego samego, po czym zabiłbym się sam, aby nie pozostawić pod słońcem nikogo ze zhańbionej rasy.

W tym momencie gospodyni otworzyła drzwi, zbliżyła się do Samba i przekazała mu zaadresowaną do niego karteczkę.

– Kto to pani dał? – zapytał Sambo.

– Nie wiem – wyjaśniła gospodyni. – Ten papier został zostawiony umyślnie przez jakiegoś pijaka, ponieważ znalazłam go na stole.

– Tutaj przychodzą tylko Indianie?

– Tak, tylko Indianie.

Gospodyni wyszła. Sambo rozwinął kartkę i przeczytał na głos:

– Pewna młoda dziewczyna modliła się za Martina Paza, bowiem nie zapomniała o Indianinie, który ryzykował dla niej swoje życie! Jeśli Sambo ma jakieś nowiny o swoim

synu, czy jakąś nadzieję na odnalezienie go, niechaj owinie swoje ramię czerwoną chustą. Są oczy, które będą oczekiwać tego każdego dnia.

Sambo zgniótł bilecik.

– Nieszczęsny – powiedział – pozwolił się zauroczyć jakiejś kobiecie!

– Kim jest ta kobieta? – zapytał Manangani.

– To nie jest Indianka – odrzekł Sambo, spoglądając na kartkę. – To jakaś elegancka młoda dziewczyna... Ach, Martinie Paz, nie poznaje cię!

– Czy uczyni pan to, o co prosi ta kobieta?

– Absolutnie! – gwałtownie odpowiedział Indianin. – Niechaj straci wszelką nadzieję zobaczenia mojego syna i niechaj przez to umrze!

I Sambo z wściekłością podarł bilecik.

– Człowiekiem, który zostawił wiadomość, musiał być Indianin – zauważył Manangani.

– Och, nie był to nikt z naszych! Musiał wiedzieć, że często przychodzę do tej gospody, ale więcej moja noga tu nie postanie. Niechaj mój brat wraca w góry, ja będę czuwał tutaj, w mieście. Zobaczmy, czy święto Amancaes będzie radosne zarówno dla ciemnych jak i dla ciemionych!

Następnie obaj Indianie rozeszli się.

Plan był dobrze opracowany a godzina jego wykonania dobrze wybrana. Peru było wtedy prawie wyludnione, jeśli nie liczyć małej grupy Hiszpanów i Metysów. Inwazja Indian, przybywających z lasów Brazylii, podobnie jak z gór Chile i równin La Platy,<sup>28</sup> musiała sprawić pojawienie się na polu walki armii budzącej postrach. Mieszkańcy wielkich miast, takich jak Lima, Cuzco czy Puno,<sup>29</sup> doszczętnie zniszczonych, nie mogliby liczyć na to, że oddziały kolumbijskie, wygnane niedawno przez rząd peruwiański, przyjdą z pomocą swoim będącym w niebezpieczeństwie nieprzyjaciółom.

Ten przewrót społeczny musiałby zakończyć się sukcesem, gdyby tylko pozostał głęboko ukryty w sercach Indian, bowiem z pewnością wśród nich nie było zdrajców.

Nie wiedzieli oni jednak, że pewien człowiek zjawił się na prywatnej audiencji u prezydenta Gambarry. Nie wiedzieli, że ów człowiek wyjawiał, iż szkuner Annonciacion wyładował wszelkiego rodzaju broń do piróg indiańskich u ujścia Rimacu... Za przysługę, którą oddał rządowi peruwiańskiemu, donosząc o tych wydarzeniach, osobnik ten zażądał wysokiego wynagrodzenia.

Tymczasem człowiek ów prowadził podwójną grę. Po wynajęciu za znaczną cenę agentom Samba swojego statku, przyszedł sprzedać prezydentowi tajemnicę spiskowców.

Po tych poczynaniach łatwo go było rozpoznać. To był Żyd Samuel.

## VI

André Certa, całkowicie uzdrowiony, sądząc, że Martin Paz nie żyje, jak najszybciej chciał wziąć ślub. Spieszno mu było do przechadzek ulicami Limy z młodą i piękną Żydówką.

Tymczasem Sara okazywała mu wciąż tę samą, dumną obojętność. On jednak nie zwracał na to uwagi, ponieważ uważał ją jedynie za kosztowny przedmiot, za który zapłacił sto tysięcy piastrow.

Trzeba przyznać, że André Certa nie ufał Żydowi i miał ku temu pełne prawo. Jeśli kontrakt był mało uczciwy, to zawierający go jeszcze mniej. Dlatego też Metys chciał przeprowadzić z Samuelem sekretną rozmowę i pewnego dnia zabrał go do Chorillos. Przy

tym Metys miał ochotę spróbować przed zaślubinami szczęścia w grze w kości.

Kilka dni po przybyciu markiza don Végala do ośrodka wypoczynkowego otwarto sale gier. Od tej chwili na drodze do Limy panował ciągły ruch. Niektórzy przychodzili piechotą a wracali powozami, inni tracili ostatnie resztki swoich fortun.

Don Végál i Martin Paz w ogóle nie uczestniczyli w tych rozrywkach, a bezsenność młodego Indianina miała na dodatek szlachetniejsze przyczyny.

Martin Paz, po wieczornych spacerach z markizem, powracał do swego pokoju i, opierając się łokciami na oknie, długie godziny spędzał na rozmyślaniu.

Don Végál wciąż wspominał córkę Samuela, którą widział modlącą się w katolickiej świątyni, ale nie odważył się powierzyć tego sekretu Martinowi Pazowi, mimo że powoli nauczał go chrześcijańskich prawd. Obawiał się przywrócić do życia w jego sercu uczucie, które chciał stłumić, ponieważ skazany na wygnanie Indianin musiał zrezygnować z wszelkiej nadziei zdobycia Sary. Tymczasem policja zakończyła śledztwo, porzucając sprawę Martina Paza. Z upływem czasu, a także pod wpływem swego protektora, Indianin mógłby pewnego dnia stać się godnym członkiem peruwiańskiej społeczności.

Ale zdarzyło się, że zdesperowany Martin Paz postanowił dowiedzieć się, co się dzieje z młodą Żydówką. Dzięki swemu hiszpańskiemu ubiorowi mógł wślizgnąć się do salonu gier i tam wysłuchać pogawędek stałych bywalców. André Certa był człowiekiem dosyć znacznym, aby jego małżeństwo, jeżeli miało być zawarte w najbliższym czasie, nie było przedmiotem rozmów.

Tak więc pewnego wieczoru, zamiast skierować swoje kroki w kierunku morza, Indianin wspiał się na wysokie skały, na których znajdowały się główne budynki Chorillos, i wszedł do domu, do którego prowadziły szerokie kamienne schody. Był to dom hazardu.

Dla wielu limańczyków był to ciężki dzień. Kilku z nich, zmożonych zmęczeniem poprzedniej nocy, odpoczywało na ziemi, zawiniętych w swoje poncha.

Inni gracze siedzieli przy wielkim stole nakrytym zielonym sukniem, podzielonym na cztery tablice dwiema liniami, przecinającymi się na środku pod kątem prostym. Na każdym z tych pól widniały litery A i S – inicjały słów *azar* i *suerte* (los i przeznaczenie). Gracze stawiali na jedną lub drugą literę. Bankier trzymał stawki i rzucał na stół dwie kostki, a suma punktów decydowała, że wygrywało A lub S.

W tym momencie grupy “podnieconych” graczy ożywiły się. Jakiś Metys z gorączkowym zapalem kontynuował nieprzychylną mu grę.

– Dwa tysiące piastrów! – krzyknął.

Bankier rzucił kości i z ust gracza posypały się przekleństwa.

– Cztery tysiące piastrów! – powiedział tym razem.

I jeszcze raz je przegrał.

Martin Paz, pozostający w mroku panującym w salonie, mógł zobaczyć gracza z przodu. Był to André Certa.

Tuż obok niego stał Żyd Samuel.

– Wystarczy tej zabawy, *señor* – powiedział Samuel. – Nie ma pan dzisiaj szczęścia.

– Co panu do tego! – odparł szorstko Metys.

Samuel pochylił się do jego ucha.

– Jeśli mnie to nawet nie dotyczy – powiedział – to pan jednak powinien pohamować swoje przyzwyczajenia w tych ostatnich dniach poprzedzających pańskie małżeństwo!

– Osiem tysięcy piastrow! – odrzekł André Certa, stawiając na S.

Wyszło A. Metysowi wyrwało się z ust bluźnierstwo.

Bankier powiedział znowu:

– Proszę zacząć grę!

André Certa, wyciągając z kieszeni banknoty, zamierzał postawić znaczną sumę. Złożył ją nawet na jednym z pól, a bankier potrząsał już kośćmi, kiedy wstrzymał go nagły znak dany przez Samuela. Żyd ponownie pochylił się do ucha Metysa i powiedział:

– Jeśli nie zostanie panu nic, aby dobić naszego targu, tego wieczoru wszystko zostanie zerwane!

André Certa wzruszył ramionami i machnął z wściekłością ręką, następnie, zabrawszy swoje pieniądze, wyszedł.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział Samuel do bankiera. – Zrzuń pan tego *señora* po jego ślubie!

Bankier skłonił się uniżenie, gdyż Żyd był założycielem i właścicielem salonów gier w Chorillos. Wszędzie tam, gdzie był choć jeden real do zarobienia, można było spotkać tego człowieka.

Samuel poszedł za Metysem i znalazłszy go na kamiennych schodach przed budynkiem, powiedział:

– Mam panu do przekazania bardzo ważne sprawy. Gdzie moglibyśmy bezpiecznie porozmawiać?

– Gdzie tylko pan chce! – odparł gwałtownie André Certa.

– *Señor*, oby pański zły humor nie zgubił pańskiej przyszłości! Nie mam tak wielkiego zaufania do otoczenia, ani najlepiej zamkniętych pokoi, ani najbardziej opustoszałego miejsca, aby przekazać panu moją tajemnicę. Jeśli tak dużo pan za nią płaci, to warta jest zachodu, aby była dobrze strzeżona!

Rozmawiając w ten sposób, dwaj mężczyźni doszli do plaży i zatrzymali się przed kabinami przeznaczonymi dla kąpiących się. Nie zdawali sobie sprawy, że są widziani i słyszani przez Martina Paza, który przemykał w ciemności niczym wąż.

– Weźmy łódkę – rzekł André Certa – i wypłynijmy na pełne morze.

André Certa odczepił małą szalupę i rzucił kilka monet strażnikowi. Samuel wszedł razem z przyszłym zięciem do łodzi, po czym Metys odepchnął ją od brzegu.

Widząc oddalającą się łódź, Martin Paz, ukryty w załomie skały, rozebrał się pośpiesznie i, zachowując jedynie zatknięty za pasem sztylet, popłynął mężnie ku szalupie.

Słońce gasiło właśnie swoje ostatnie promienie w wodach Pacyfiku i milczące ciemności ogarnęły niebo i morze.

Martin Paz nawet nie pomyślał, że te złowieszcze okolice przeczesywały najbardziej niebezpiecznego gatunku rekiny. Zatrzymał się niedaleko szalupy Metysa, w zasięgu jego głosu.

– Ale jaki dowód tożsamości dziewczyny dostarczę ojcu? – dopytywał się Żyda André Certa.

– Przypomni mu pan okoliczności, w jakich stracił to dziecko.

– Jakie są te okoliczności?

– Oto one...

Martin Paz, trzymając się z trudem na powierzchni, słuchał, lecz nic z tego nie rozumiał.

– Ojciec Sary – mówił Żyd – mieszkał w Concepcion, w Chile. Był to wielki pan, którego już *señor* zna. Jedynie jego fortuna mogła rywalizować z jego wysokim urodzeniem. Zmuszony, w związku z interesami, udać się do Limy, wyjechał sam, zostawiając w Concepcion swoją żonę i córeczkę, która miała wtedy piętnaście miesięcy. Klimat Peru odpowiadał mu pod każdym względem, poprosił więc markizę, aby przyjechała do niego. Żona wsiadła z kilkoma zaufanymi służącymi na statek *San Jose*, wyruszający z Valparaiso. Udawałem się do Limy tym samym statkiem. *San Jose* miał dopłynąć do portu w Limie, ale na wysokości Juan Fernandez został ogarnięty straszliwym huraganem, który go uczynił niezdatnym do żeglugi i przewrócił na bok. Członkowie załogi i pasażerowie schronili się w szalupie, lecz na widok rozszalałego morza markiza odmówiła zejścia do łodzi. Ścisnęła dziecko w ramionach i pozostała na statku. Zostałem z nią. Szalupa oddalała się, lecz sto sążni<sup>30</sup> od *San Jose* pochłonęło ją morze wraz ze wszystkimi pasażerami. Zostaliśmy sami. Nawałnica rozszalała się z wyjątkową gwałtownością. Skoro moja fortuna nie znajdowała się na statku, specjalnie nie rozpaczalem. *San Jose*, mając pięć stóp wody w ładowni, dryfował w kierunku nadbrzeżnych skał, o które roztrzaskał się na kawałki. Młoda kobieta została wyrzucona w morze razem ze swoją córeczką. Na szczęście dla mnie udało mi się schwytać dziecko w momencie gdy jej matka utonęła na moich oczach i wydostać się na brzeg.

– Czy wszystkie te szczegóły są prawdziwe?

– W stu procentach prawdziwe. Ojciec im nie zaprzeczy. Ach, miałem dobry dzień, *señor*, ponieważ zyskałem sto tysięcy piastrów, które mi pan przekazał!

– Co to ma znaczyć? – zapytał sam siebie Martin Paz.

– Oto mój pugilares<sup>31</sup> ze stoma tysiącami piastrów – odrzekł André Certa.

– Dziękuję, *señor*! – rzekł Samuel, ściskając pieniądze. – Proszę w zamian wziąć to pokwitowanie. Zobowiązuję się zwrócić panu sumę dwukrotnie większą, jeśli nie zostanie pan jedną z pierwszych rodzin Hiszpanii.

Ale Indianin nie słyszał ostatniego zdania. Musiał zanurkować, aby uniknąć zetknięcia się z szalupą, a wtedy oczy jego ujrzały zbliżającą się szybko do niego jakąś niekształtą bryłę.

To był żarłacz tygrysi,<sup>32</sup> jeden z najbardziej krwiożerczych rekinów.

Martin Paz widział zbliżające się ku niemu zwierzę i zanurkował, ale wkrótce musiał powrócić na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Indianin, którego dosięgło uderzenie ogona żarłacza, poczuł, jak jego pierś drapią kleiste łuski potwora. Rekin, aby schwytać swoją zdobycz, odwrócił się na wznak, otwierając swoją szczęką uzbrojoną w potrójny rząd zębów. Martin Paz jednak, widząc błyszczący biały brzuch zwierzęcia, pchnął go swoim sztyletem.

W jednej chwili wody wokół niego zabarwiły się na czerwono od krwi rekina. Zanurkował ponownie i pojawił się na powierzchni dziesięć sążni dalej. Nie dostrzegłszy nigdzie szalupy Metysa, kilkoma ruchami ramion dotarł do brzegu, zapominając już, iż uniknął straszliwej śmierci.

Nazajutrz Martin Paz opuścił Chorillos, a don Végal przepelnięty niepokojem udał się w pośpiechu do Limy, aby spróbować go odnaleźć.

## VII

Klub André Certy z córką bogatego Samuela był prawdziwym wydarzeniem. Kobiety nie miały ani chwili odpoczynku, zmęczone wymyślaniami a to jakiegoś ślicznego gorsetu, a to znowu jakiejś nowej fryzury. Padały ze znużenia, przymierzając coraz to nowe stroje.

Liczne przygotowania trwały też w domu Samuela, który chciał nadać zaślubinom Sary wielki rozgłos. Freski, które wedle hiszpańskiej zwyczaju zdobiły jego dom, zostały

dokładnie odświeżone. Okna i drzwi domostwa okalały szerokie fałdy najbogatszych draperii. Obszerne salony, przesiąknięte dobroczynną świeżością, wypełniały rzeźbione meble z cennych i pachnących gatunków drzew. Wzdłuż balustrad i tarasów wily się pochodzące z ciepłych krain rzadkie krzewy.

Tymczasem młoda dziewczyna nie miała już najmniejszej nadziei, skoro i Sambo jej nie miał. Sambo zaś nie miał nadziei, gdyż nie nosił już na swym ramieniu jej znaku! Liberta śledził każdy krok starego Indianina... Nie potrafił jednak nic dodać w tej sprawie.

Ach! Gdyby biedna Sara mogła iść za głosem swego serca, schroniłaby się w klasztorze, aby tam doczekać końca swych dni! Urzeczona nieodpartym powabem dogmatów katolicyzmu, nawrócona w tajemnicy dzięki staraniom ojca Joachima, przyłączyła się do tej religii, która współgrała tak dobrze z przekonaniem jej serca.

Ojciec Joachim, chcąc uniknąć skandalu, czytając zresztą lepiej z brewiarza niż z ludzkiego serca, pozwolił Sarze wierzyć w śmierć Martina Paza. Dla niego przede wszystkim miało znaczenie nawrócenie młodej dziewczyny. Poza tym, widząc, że dzięki małżeństwu z André Certą będzie miała zapewniony byt, usiłował przyzwycząić ją do myśli o takiej przyszłości, nie podejrzewając nawet, na jakich warunkach miał być zawarty ów związek.

W końcu nadszedł ten dzień, tak radosny dla jednych, tak smutny dla drugich. André Certa zaprosił na ucztę weselną całe miasto. Zaproszenia nie zostały jednak przyjęte przez rodziny szlacheckie, które wymówiły się mniej lub bardziej prawdopodobnymi powodami.

Tymczasem nadeszła godzina, w której miał zostać podpisany kontrakt ślubny, jednakże panna młoda nie pojawiła się...

Żyda Samuela dręczyło jakieś tajemne zmartwienie. André Certa niecierpliwie marszczył brwi. Na twarzach zaproszonych gości malowało się jakby skrępowanie, gdy tymczasem tysiące świec, odbijając się w lustrach, napełniały salony olśniewającym światłem.

Na zewnątrz, na ulicy, błąkał się jakiś człowiek ogarnięty śmiertelnym niepokojem. Był to markiz don Végal.

## VIII

Tymczasem Sara, nękana najcięższymi strapieniami, pozostawała sama. Nie mogła wyjść ze swego pokoju. W pewnej chwili, dławiona emocjami, stanęła na balkonie, który wychodził na wewnętrzne ogrody.

Nagle zauważyła człowieka, który prześlizgiwał się pomiędzy szpalerami magnolii. Rozpoznała Libertę, swojego służącego. Wydawało się, że Liberta śledzi niewidzialnego wroga, raz po raz chowając się za jakąś rzeźbę albo przypadając do ziemi.

Naraz Sara zbladła. Liberta zmagił się z jakimś olbrzymim człowiekiem, który powalił go na ziemię. Jedyne kilka stłumionych oddechów świadczyło o tym, że jakaś silna dłoń zatyka usta sługi.

Młoda dziewczyna już miała krzyknąć, gdy nagle zobaczyła, że ci dwaj mężczyźni podnoszą się. Sługa przypatrywał się swemu przeciwnikowi.

– To pan! Pan tutaj! – rzekł Liberta.

I poszedł za tym człowiekiem, który, zanim jeszcze Sara zdążyłaby krzyknąć, wydał się mu duchem z innego świata. A młoda dziewczyna, jak niewolnik przygnieciony do ziemi kolanem Indianina, zgięta pod spojrzeniem Martina Paza, nie mogła wypowiedzieć nic poza słowami:

– To pan! To pan!

Martin Paz spojrział na nią i rzekł:

– Czy narzeczona nie słyszy odgłosów święta? Zaproszeni niecierpliwą się w salonach, aby zobaczyć, jak szczęście jaśnieje na jej twarzy! A może jest to ofiara, przygotowana na poświęcenie ich oczom? Czyż z tą pobladłą od bólu twarzą panna młoda może pokazać się swojemu narzeczonemu?

Słowa Martina Paza z ledwością docierały do Sary.

Młody Indianin zaczął raz jeszcze:

– Skoro panna młoda jest we łzach, to znaczy, że sięga spojrzeniem dalej, niż dom jej ojca, dalej niż miasto, w którym ona cierpi!

Sara podniosła głowę. Martin Paz wyprostował się i ramieniem wyciągniętym ku szczytom Kordylierów wskazał dziewczynie drogę wolności.

Sara poczuła, że ogarnia ją nieprzewyciężona moc. W tym czasie dotarł do jej uszu dźwięk kilku głosów. Ktoś zbliżał się do jej pokoju. Bez wątpienia za chwilę miał przekroczyć próg jej ojciec, być może w towarzystwie jej narzeczonego! Martin Paz przygasił szybko lampę zwisającą tuż na jego głowę... Gwizd, przypominający ten, który można było usłyszeć na Plaza Mayor, przeniknął ciemności nocy.

Nagle otworzyły się drzwi. Weszli Samuel i André Certa. W pokoju panowała głęboka ciemność. Kilku służących pośpieszyło ze świecznikami... Pokój był pusty!

– Śmierć i gniew! – wykrzyknął Metys.

– Gdzie ona jest? – zapytał Samuel.

– Jest pan za to odpowiedzialny – odpowiedział mu brutalnie André Certa.

Po tych słowach poczuł, jak zimny pot przenika go aż do kości.

– Do mnie! – zawołał.

I wraz ze służącymi wybiegł z domu.

Tymczasem Martin Paz uciekał w pośpiechu ulicami miasta. Dwieście kroków od domu Żyda natknął się na kilku Indian, którzy zebrali się, usłyszawszy jego gwizd.

– W nasze góry! – zawołał.

– Do domu markiza don Végala! – powiedział ktoś, kto stał tuż za nim.

Martin Paz obrócił się.

U jego boku stał Hiszpan.

– Nie powierzy mi pan tej młodej dziewczyny? – zapytał don Végal.

Indianin pochylił głowę i ciężkim głosem odpowiedział:

– Do domu markiza don Végala!

Martin Paz, ulegając przewadze markiza, powierzył mu dziewczynę. Wiedział, że w jego domu będzie bezpieczna i, rozumiejąc do czego zobowiązuje go honor, nie chciał spędzić nocy pod dachem don Végala.

Wyszedł więc z rozpaloną głową. Czuł, jak gorączka rozgrzewa krew w jego żyłach...

Ale nie zrobił nawet stu kroków, gdy pięciu czy sześciu ludzi rzuciło się na niego i, mimo że bronił się zawzięcie, skrępowało go. Martin Paz wydał z siebie jęk rozpaczony. Wiedział, że wpadł w ręce swoich wrogów.

Kilka chwil później został złożony w jakimś pokoju, gdzie zdjęto mu zakrywającą oczy opaskę. Rozejrzał się wokół i zrozumiał, że jest w dolnej sali tej tawerny, w której jego bracia zorganizowali ich pierwszą rewoltę.

Był tam Sambo, który brał udział w uprowadzeniu dziewczyny. Otaczali go Manangani i

inni. Błysk nienawiści pojawił się w oczach Martina Paza.

– Mój syn nie ma więc litości dla moich łez – powiedział Sambo – skoro pozwala mi tak długo wierzyć w swoją śmierć?

– Czy w przeddzień wybuchu rewolty Martin Paz, nasz przywódca, musiał znaleźć się w obozie wroga? – zapytał Manangani.

Martin Paz nie odpowiedział ani swojemu ojcu, ani Indianinowi.

– Tak więc nasze najważniejsze sprawy zostały poświęcone dla jakiejś kobiety?

Wypowiadając te słowa, Manangani zbliżył się do Martina Paza ze sztyltem w ręku. Martin Paz nawet na niego nie spojrział.

– Najpierw porozmawiajmy – rzekł Sambo. – Działać będziemy później. Jeśli mój syn uchybił w czymś swoim braciom, będę teraz wiedział, na kim pomścić zdradę. Niech ma się na baczności! Córka Żyda Samuela nie jest tak dobrze ukryta, by mogła nam się wymknąć! Zresztą, mój syn się zastanowi. Naznaczony wyrokiem śmierci, nie znajdzie już w tym mieście kamienia, na którym mógłby złożyć swoją głowę. Jeżeli jednak wyzwoli swój kraj, oznaczać to będzie dla niego honor i wolność!

Martin Paz ciągle milczał, lecz wewnątrz toczył straszliwą walkę. Sambo poruszył wrażliwe struny tej dumnej natury.

W planach buntowników Martin Paz był postacią nie do zastąpienia. Cieszył się najwyższym autorytetem wśród Indian z miasta, na swój sposób manipulował nimi, i wystarczyłby tylko znak, aby porwał ich do walki na śmierć i życie.

Więzy, które go łączyły, zniszczył rozkaz Sambo. Martin Paz podniósł się.

– Mój synu – powiedział Indianin, obserwując go z uwagą – jutro, podczas święta *Amancaes*, nasi bracia spadną jak lawina na bezbronnych mieszkańców Limy. Oto droga ku Kordylierom, z przeciwnej strony ta, która prowadzi do miasta. Jesteś wolny.

– W góry! – wykrzyknął Martin Paz. – W góry i niech nieszczęście spadnie na naszych wrogów!

Wschodzące słońce oblało pierwszymi promieniami tajne zgromadzenie indiańskich wodzów zaszytych w łonie Kordylierów.

## IX

Nadszedł 24 czerwca, dzień wielkiego święta *Amancaes*. Mieszkańcy – pieszo, konno, powozami – zmierzali na słynny płaskowyż, położony pół mili od miasta. Metysi i Indianie mieszały się ze sobą we wspólnej zabawie. Szli wesoło w grupach z rodzinami lub przyjaciółmi. Każda grupa poprzedzona muzykiem, który grał na gitarze i śpiewał najbardziej popularne melodie, niosła swoje zapasy. Świętujący szli przez pola kukurydzy i lucerny, poprzez zarośla bananowców, przemierzali piękne aleje wysadzone wierzbami, aby w końcu znaleźć się pośród drzew cytrynowych i pomarańczowych, których woń mieszała się z dzikimi zapachami gór. Wzdłuż całej drogi ruchome gospody oferowały wódkę i piwo, które, spożywane w dużych ilościach, pobudzały do śmiechów i krzyków. Jeźdźcy zmuszali swe konie do harcowania pośród tłumu i prześcigali się w szybkości, biegłości i zęczności.

W tej zabawie, która zawdzięcza swą nazwę górskim kwiatuśkom, dominowała niepojęta porywczność i swoboda. Jednakże nigdy żadna kłótnia nie wybuchła pośród tysięcy okrzyków powszechnej radości. Zaledwie kilku jeźdźców, przyodzianych w błyszczące pancerze, wystarczyło, by zaprowadzić wśród ludności porządek.

I kiedy w końcu cały ten tłum przybył na płaskowyż *Amancaes*, z tysięcy gardeł wydobył się potężny okrzyk uwielbienia, powtórzony następnie przez odbite od gór echo.

U stóp widzów rozciągało się dawne Miasto Królów, wznoszące zuchwale ku niebu swe wieże i dzwonnice, pełne ogłuszającego, radosnego dzwonienia. Kościoły San Pedro, San Augustin i katedra przyciągały spojrzenia swymi lśniącymi w promieniach słońca dachami. San Domingo, bogata świątynia, w której Madonna nie jest nigdy przyodziana dwa dni z rzędu w te same szaty, wznosiła swą ozdobną iglicę wyżej niż kościoły, które z nią sąsiadowały. Po prawej stronie rozległe niebieskie płaszczyzny Oceanu Spokojnego lekko falowały pod wpływem wiejącego wietrzyku, a spojrzenie, kierując się od Callao do Limy, przesuwało się po wszystkich tych zabytkowych grobowcach, zawierających szczątki wielkiej dynastii Inków. Rysujący się na horyzoncie przylądek Morro Solar stanowił jakby ramę dla tego cudnego obrazu.

Jednak podczas gdy limańczycy podziwiali te malownicze widoki, na oblodzonych wierzchołkach Kordylierów przygotowywany był krwawy dramat.

W samej rzeczy, gdy miasto zostało niemalże opuszczone przez zwykłych mieszkańców, po ulicach snuło się wielu Indian. Ludzie ci, zazwyczaj biorący czynny udział w zabawach z okazji *Amancaes*, przechadzali się w milczeniu z dziwnie zamyślonymi twarzami. Od czasu do czasu któryś z zaferowanych dowódców przekazywał im sekretny rozkaz i dalej szedł swoją drogą, gdy tymczasem wszyscy zbierali się powoli w bogatych dzielnicach miasta.

Słońce zaczęło zniżać się do widnokręgu. O tej to właśnie porze arystokracja limańska udawała się na święto *Amancaes*. Najbogatsze stroje lśniły wewnątrz powozów, przesuających się lewą i prawą stroną wysadzanej drzewami drogi. Kłębiła się tam zawiła mieszanina pieszych, powozów i jeźdźców.

Zegar na wieży katedry wybił piątą.

W tej chwili w mieście rozległ się ogromny krzyk. Ze wszystkich placów, ulic, domów wybiegli Indianie z bronią w ręku. Piękne dzielnice wypełniły się w niedługim czasie buntownikami, wśród których kilku potrząsało ponad głowami zapalonymi pochodniami.

– Śmierć Hiszpanom! Śmierć ciemierzcom! – tak brzmiał rozkaz.

W jednej chwili szczyty wzgórz zaroily się od Indian, którzy mieli dołączyć do swych towarzyszy w mieście.

Można sobie wyobrazić, jak Lima wyglądała w tamtej chwili. Buntownicy rozprzestrzenili się po wszystkich dzielnicach. Na czele jednej z kolumn szedł Martin Paz, wymachując czarną flagą. Podczas gdy Indianie atakowali domy przeznaczone do zniszczenia, on skierował się ze swoim oddziałem na Plaza Mayor. Idący tuż przy nim Manangani wydawał z siebie dzikie okrzyki.

Zebrani na placu przed pałacem prezydenckim żołnierze rządowi, uprzedzeni o buncie, byli gotowi do walki. Straszliwy ostrzał przywitał spiskowców w chwili, gdy weszli na plac. Zaskoczeni początkowo tą nieoczekiwaną salwą, która znaczną część z nich powaliła na ziemię, Indianie rzucili się na oddziały z niesłychaną porywcznością. Wynikła z tego straszliwa walka, podczas której bojownicy obu stron wprost się o siebie ocierali. Martin Paz i Manangani dawali niesłychane dowody waleczności i tylko cudem uniknęli śmierci.

Za wszelką cenę musieli zdobyć pałac i umocnić się w nim.

– Naprzód! – zawołał Martin Paz i tym okrzykiem pociągnął za sobą oddział do ataku.

Choć Indianie byli atakowani z każdej strony, udało im się rozerwać kordon oddziałów otaczających pałac. Manangani rzucił się na pierwsze stopnie schodów, lecz nagle zatrzymał się. Rozerwane rzędy żołnierzy odsłoniły dwa działa, gotowe ostrzelać atakujących.

Nie było chwili do stracenia. Trzeba było skoczyć do dział, zanim jeszcze zdążyłyby wypalić.

– My to zrobimy! – krzyknął Manangani do Martina Paza.

Ale Martin Paz właśnie się pochylił i już go nie słyszał, gdyż jakiś murzyn szepnął mu do ucha:

– Plądrują dom markiza don Végala. Może właśnie go mordują!

Na te słowa Martin Paz wycofał się. Manangani chciał go zatrzymać, ale w tym momencie zabrzmiały działa i salwa zmiotła Indian.

– Do mnie! – krzyknął Martin Paz i kilku oddanych mu towarzyszy dołączyło do niego. W ten sposób mógł utorować sobie lukę w szeregach wojsk rządowych.

Ta ucieczka nosiła w sobie wszelkie znamiona zdrady. Indianie sądzili, że dowódca ich opuścił. Manangani nadaremnie próbował nakłonić ich do walki. Znaleźli się pod gęstym ostrzałem. Od tej chwili zebranie ich w jedno miejsce nie było już możliwe. To spowodowało kompletne zamieszanie i rozsypkę żołnierzy. Płomienie, które unosiły się nad niektórymi dzielnicami, zachęciły uciekinierów do grabieży, lecz podążający za nimi żołnierze zabili większość z nich.

W tym samym czasie Martin Paz dotarł do domu don Végala, który stał się areną zawziętej walki, kierowanej przez samego Samba. Stary Indianin miał podwójny interes, aby się tam znaleźć: zwyciężyć Hiszpana oraz pojmać Sarę, rękojmię wierności swego syna.

Brama i mury dziedzińca, zniszczone, pozwalały widzieć don Végala ze szpadą w dłoni, otoczonego przez swą służbę i stawiającego czoła nacierającej masie. Duma tego człowieka i jego odwaga miały w sobie coś wzniosłego. Pierwszy wystawiał się na uderzenia i jego groźne ramię pokryło ziemię wokół niego ciałami poległych.

Ale cóż mógł zdziałać wobec tego tłumu Indian, wciąż powiększającego się o uciekinierów z Plaza Mayor? Don Végál czuł, że siła obrońców słabnie, i nie pozostawało mu już nic innego, jak tylko pozwolić się zabić. Wtedy jednak Martin Paz, szybki jak błyskawica, zaatakował napastników od tyłu, zmusił ich, by obrócili się ku niemu, i w ogniu kul dotarł aż do don Végala, osłaniając go własnym ciałem.

– Dobrze, mój synu, dobrze! – rzekł don Végál do Martina Paza, ściskając mu dłoń.

Lecz młody Indianin był posępny.

– Dobrze, Martinie Pazio! – wykrzyknął inny głos, który dotarł aż do jego duszy.

Rozpoznał Sarę, zaś jego ramię zakreśliło wokół szeroki krwawy krąg.

Tymczasem oddział Samba atakował. Ten nowy Brutus<sup>33</sup> dwadzieścia razy kierował uderzenia na syna, nie mogąc go dosięgnąć, i dwadzieścia razy Martin Paz cofał swą broń gotową uderzyć w ojca.

Nagle obok Samba pojawił się zboczony krwią Manangani.

– Przysiągłeś – rzekł doń – pomścić zdradę nikczemnika w obecności jego najbliższych, przyjaciół, w obecności niego samego! Teraz nadszedł czas! Oto żołnierze nadchodzą! Metys André Certa jest razem z nimi!

– Chodźmy więc, Manangani – powiedział Sambo z dzikim uśmiechem – chodźmy!

I obaj, opuściwszy dom don Végala, pobiegli w stronę nadchodzącego oddziału. Żołnierze złożyli się do strzału, lecz Sambo wcale się tym nie przestraszył i podszedł prosto do Metysa.

– To pan jest André Certa – rzekł. – A więc pańska narzeczona jest w domu don Végala i Martin Paz zabierze ją ze sobą w góry!

Po tych słowach obaj Indianie zniknęli.

W ten sposób Sambo postawił twarzą w twarz dwóch śmiertelnych wrogów, a żołnierze, znęcani obecnością Martina Paza, rzucili się w kierunku domu markiza.

André Certa był pijany z wściekłości. Skoro tylko dostrzegł Martina Paza, rzucił się błyskawicznie ku niemu.

– Nas dwóch! – zawył młody Indianin i, opuszczając kamienne schody, których tak zawzięcie bronił, doskoczył do Metysa.

Stanęli naprzeciwko siebie: stopa przy stopie, pierś przy piersi. Ich twarze dotykały się, ich spojrzenia mieszały się w jeden błysk. Przyjaciele i wrogowie nie mogli się do nich zbliżyć. Rzucili się na siebie i w tym strasliwym uścisku zabrakło im tchu. W pewnym momencie jednak André Certa wyprostował się przed Martinem Pazem, temu zaś z ręki wypadł sztylet. Metys uniósł ramię, jednak Indianin zdążył je zatrzymać, nim ten zadał cios. André Certa na próżno chciał się uwolnić. Martin Paz zdołał skierować sztylet ku Metysowi i wbił go prosto w serce aż po samą rękojęść.

Następnie rzucił się w ramiona don Végala.

– W góry, mój synu – wykrzyknął markiz – uciekaj w góry! Teraz ja ci to rozkazuję!

W tej chwili pojawił się Żyd Samuel i, rzuciwszy się na ciało André Certy, zdołał zabrać z ubrania portfel. Ale zauważył to Martin Paz. Odebrał mu portfel, otworzył go, przejrzał, wydał krzyk radości i, kierując się w stronę markiza, oddał mu dokument, na którym widniały te słowa:

“Otrzymałem od pana André Certy sumę stu tysięcy piastrow, którą zobowiązuję się mu zwrócić, jeśli Sara, którą uratowałem z tonącego statku *San Jose*, nie jest córką i jedyną spadkobierczynią markiza don Végala.

Samuel.”

– Moja córka! – wykrzyknął Hiszpan i pobiegł w stronę pokoju Sary.

Młodej dziewczyny jednak tam nie było, a ojciec Joachim, zalany krwią, zdołał wypowiedzieć tylko te słowa:

“Sambo... Porwana... Rzeka Madeira!...”

## X

Wdrogę! – wykrzyknął Martin Paz.

A don Végal, nie wypowiedziawszy ani słowa, postanowił wyruszyć razem z Indianinem. Jego córka!... Koniecznie musiał odnaleźć swoją córkę!

Przyprawiono dwa muły, na które markiz i Martin siedli okrakiem. Powyżej kolan przymocowali sobie rzemieniami wysokie sztylpy,<sup>34</sup> a głowy osłonili słomianymi kapeluszami. W skórzanych olstrach<sup>35</sup> przytroczonych do siodeł znajdowały się pistolety, a z boku przewieszane były karabiny. Martin Paz owinął wokół siebie lasso, a jego koniec przymocował do uprzęży muła.

Indianin dobrze znał wyżyny i góry, w które mieli się zapuścić. Wiedział, do jakiej zagubionej krainy Sambo porwał jego narzeczoną. Jego narzeczoną! Ośmielił się nazwać tak córkę markiza don Végala.

Hiszpan i Indianin, wiedzeni tylko jedną myślą, jednym celem, zagłębili się wkrótce w wąwozy Kordylierów, porośnięte drzewami kokosowymi i sosnami. Cedry, krzaki bawełny i aloesu pozostały za nimi, razem z równinami pokrytymi kukurydzą i lucerną. Parokrotnie ich muły kłuły się o niezliczone kolczaste kaktusy, a wtedy zatrzymywały się niepewnie jakby nad brzegiem przepaści.

To było ciężkie zadanie przejść góry o tej porze roku. Topniejący w promieniach czerwcowego słońca śnieg dawał źródło kataraktom, zaś przeogromne masy śniegu, zsuwające się często z wierzchołków gór, spadały w bezdenne przepaście.

Jednakże ojciec i narzeczony Sary jechali dzień i noc bez chwili odpoczynku.

Dotarli do szczytu Andów, czternaście tysięcy stóp powyżej poziomu morza. Nie było tam już drzew ani roślin. Często znajdowali się w samym środku tych straszliwych burz, które zdarzają się w Kordylierach, i które podnoszą tumany śniegu ponad najwyższe szczyty. Don Végál zatrzymywał się nieraz mimowolnie, ale Martin Paz podtrzymywał go i chronił przed wielkimi zwałami śniegu.

W tym miejscu, najwyżej wzniesionym punkcie Andów, w którym wędrowców często dopadała choroba, w którym nawet najbardziej nieustraszeni ludzie tracili odwagę, trzeba było nadludzkiej woli, aby oprzeć się zmęczeniu.

Na wschodnim zboczu Kordylierów don Végál i Martin Paz odnaleźli tropy Indian, mogli więc wreszcie zejść z łańcucha gór.

Doszli do rozległych dziewiczych lasów, które pokrywają równiny położone między Peru i Brazylią. Tam, pośród tej gmatwaniny drzew, Martin Paz mógł użyć wszystkich swych indiańskich umiejętności.

Na wpół ugaszone ognisko, ślady stóp, połamane drobne gałązki, charakter pozostawionych resztek – wszystko to było dokładnie przez niego badane.

Don Végál obawiał się, że jego biedna córka była zmuszona do przemierzania tych ciemnych i kamienistych szlaków pieszko. Indianin pokazał mu jednak kilka kamyczków wciśniętych w ziemię, co dowodziło, że przechodziło tędy zwierzę. Gałęzie powyżej były zgięte w jednym kierunku, a to zdradzało człowieka jadącego na koniu. Don Végál odzyskał nadzieję. Martin Paz był tak pewny siebie, tak zręczny, że nie było dla niego przeszkody nie do pokonania, ani niebezpieczeństwa nie do opanowania!

Któregoś wieczoru zmęczenie zmusiło Martina Paz i don Végála do zatrzymania się. Dotarli do brzegu rzeki. Były to początkowe nurty Madeiry, które Indianin rozpoznał bez wahania. Ogromne namorzyny zwieszały się nad taflą wody, a kapryśnie biegnące liany łączyły je z drzewami na drugim brzegu.

Porywacze przedostali się na drugi brzeg, czy też zeszli w dół rzeki? Przebyli ją w prostej linii? Takie były pytania, które stawiał sobie Martin Paz. Podążając z trudem za kilkoma ulotnymi śladami, idąc wzdłuż stromych brzegów, doszedł do polanki, na której nie było już tak ciemno jak dookoła. Tam kilka śladów stóp wskazywało, że jakaś grupa ludzi przekroczyła rzekę w tym właśnie miejscu.

Martin Paz starał się zorientować, gdzie jest, kiedy zobaczył jakąś czarną bryłę, która poruszyła się tuż obok lasku. Przygotował szybko lasso i był gotowy do ataku. Przesunawszy się jednak o kilka kroków, zorientował się, że był to powalony na ziemię muł, którym wstrząsały śmiertelne konwulsje. Biedne konające zwierzę musiało zostać ranne daleko od miejsca, do którego zdołało się dowlec, na co wskazywały widoczne na ziemi ślady krwi. Martin Paz nie wątpił, że Indianie, nie mogąc przepawić się z mułem na drugi brzeg, zranili zwierzę uderzeniem sztyletu. Nie mając już wątpliwości, w którą stronę poszli wrogowie, wrócił do swego towarzysza.

- Być może jutro ich dogonimy – powiedział.
- Ruszajmy natychmiast – odpowiedział Hiszpan.
- Ależ przecież musimy przedostać się przez rzekę!
- Przebedziemy ją wpław!

Zdjęli obaj ubrania, które Martin Paz złożył w jeden pakunek i umieścił na swej głowie. Wślizgnęli się do wody cichuteńko w obawie, by nie zbudzić któregoś z tych groźnych kajmanów, tak licznych w rzekach Brazylii i Peru.

Wkrótce przedostali się na drugi brzeg. Pierwszym staraniem Martina Paza było odszukanie śladów Indian, lecz bezskutecznie badał liście i kamienie – niczego nie zdołał odkryć. Ponieważ dość wartki prąd zniósł ich trochę niżej, don Végal i Indianin poszli stromym brzegiem w górę rzeki i tam odnaleźli ślady, co do których nie mogli się już mylić.

Właśnie w tym miejscu przeprawił się przez Madeirę Sambo ze swoją bandą, która na drugim brzegu zwiększyła swą liczebność. Indianie z równin i gór, którzy z niecierpliwością oczekiwali zwycięstwa rewolty, dowiedziawszy się, że zostali zdradzeni, wpadli we wściekłość. Widząc, że jest osoba, którą mogą złożyć w ofierze, postanowili przyłączyć się do grupy starego Indianina.

Młoda dziewczyna nie miała zupełnie pojęcia o tym, co działo się wokół niej. Jechała, ponieważ jakieś ręce popychały ją naprzód. Gdyby pozostawiono ją na tym odludziu, z pewnością nie zrobiłaby nic, aby uchronić się od śmierci. Czasami ożywiało ją wspomnienie młodego Indianina. Później jednak opadała jak bezwładna masa na szyję swego muła. Gdy po drugiej stronie rzeki musiała iść pieszo razem z porywaczami, dwóch Indian wlokło ją tak gwałtownie, iż po jej przejściu pozostał ślad krwi.

Sambo jednak niezbyt się martwił, że krew Sary może wskazać kierunek ich drogi. Zbliżał się do swego celu. Wkrótce mieli usłyszeć ogłuszający szum rzecznych katarakt.

Indianie dotarli do swego rodzaju wioski, składającej się z setki chat zrobionych ze splecionego sitowia i ziemi. Kiedy się zbliżyli, mnóstwo kobiet i dzieci wybiegło im naprzeciw z okrzykami radości na ustach. Radość ta zmieniła się jednak we wściekłość, gdy mieszkańcy wioski dowiedzieli się o rzekomej zdradzie Martina Paza.

Sara, niewzruszona wobec swych wrogów, patrzyła na nich przytępieniem wzrokiem. Wszystkie te ohydne twarze wykrzywiały się wokół niej, a do jej uszu docierały najstraszniejsze groźby!

– Gdzie jest mój mąż? – mówiła jedna z Indianek. – To ty kazałaś go zabić!

– A mój brat, który już nigdy nie wróci do swej chaty – co z nim zrobiłaś?

– Na śmierć! Niech każdej z nas dostanie się kawałek jej ciała! Na śmierć!

Indianki, wywijając nożami, machając rozpalonymi głowniami, podnosząc ogromne kamienie, zbliżały się do młodej dziewczyny.

– Cofnąć się! – wykrzyknął Sambo. – Niechaj wszyscy czekają na decyzję wodzów!

Kobiety posłuchały słów starego Indianina, rzucając jednak w stronę dziewczyny straszliwe spojrzenia. Sara, oblepiona krwią, została rozciągnięta na kamienistym brzegu rzeki.

Poniżej wioski rzeka Madeira, wtłoczona w głębokie koryto, z piorunującą szybkością rzucała w dół masy wód z wysokości ponad stu stóp. To właśnie tam, w tych kataraktach, z rozkazu wodzów, Sara miała znaleźć śmierć.

O świcie, przy pierwszych promieniach słońca, miała być przywiązana do łódki z kory i puszczona z prądem Madeiry.

Tak zdecydowała rada i jeśli przełożyła aż do następnego dnia wykonanie egzekucji, to tylko dlatego, by wypełnić ostatnią noc ofiary udrękami i cierpieniem.

Kiedy wyrok został ogłoszony, przyjęto go okrzykami radości, a szalone uniesienie oładnęło wszystkich Indian.

To była noc orgii. Wódka uderzyła do głów podnieconym ludziom. Dziewczynę otoczyli rozhlukani tancerze. Indianie biegali po leżących odłogiem polach, wymachując płonącymi gałęziami sosny.

Tak działo się aż do świtu. Najgorsze nadeszło, gdy miejsce wydarzeń oświetliły pierwsze promienie słońca.

Dziewczyna została odwiązana od słupa i naraz sto ramion chciało wykonać wyrok. Kiedy z jej ust wymknęło się nazwisko Martina Paza, odpowiedziały jej natychmiast okrzyki nienawiści i zemsty. Musiała się wdrapać po stromej ścieżce na rozległe skupisko głazów, które prowadziło do wyższego poziomu rzeki. Dotarła tam cała zakrwawiona. Czółno z kory czekało na nią sto kroków od wodospadu. Sara została złożona w czółnie i przywiązana doń wrzynającymi się w jej ciało linami.

– Zemsta! – wykrzyknęli członkowie plemienia jednym i tym samym głosem.

Prąd rzeki szybko porwał czółno, które zaczęło się kręcić...

Nagle dwóch ludzi pojawiło się na przeciwległym brzegu. Byli to Martin Paz i don Végala.

– Moja córka! Moja córka! – krzyczał ojciec, padając na kolana na brzegu.

Czółno płynęło wprost ku katarakcie.

Martin Paz, stojąc wyprostowany na skale, kręcił lassem, które świstało wokół jego głowy. W chwili, gdy łódka miała spaść z wodospadu, długi skórzany sznur rozwinął się i chwycił ją w swoją zaciskającą się pętlę.

– Na śmierć! – zawyła banda dzikich Indian.

Martin Paz naprężył się, a łódka, zawieszona nad przepaścią, powolutku zbliżyła się do niego...

Nagle w powietrzu rozległ się świst strzały i Martin Paz, upadając na twarz wprost do łodzi ofiary, pograżył się wraz z Sarą w wirach wodospadu.

Prawie w tej samej chwili druga strzała dosięgła don Végala i przeszła mu serce.

Martin Paz i Sara stali się narzeczonymi na wieczne życie, bowiem dziewczyna w owej chwili ich niezwykłego, ponownego połączenia się, w ostatnim swym geście, uczyniła na czole nawróconego Indianina znak chrztu.

## PRZYPISY

1 Plaza Mayor – główny plac Limy, obecnie Plaza des Armas (Plac Broni).

2 mantyla, mantylka – lekki szal, zwykle z czarnej koronki, przykrywający głowę i ramiona kobiet, noszony zwłaszcza w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej.

3 *señores* (hiszp.) – panie, damy.

4 Francisco Pizarro (ok. 1471-1541) – hiszpański odkrywca i konkwistador, w 1524 r. odkrył Peru, latach 1531-34 podbił państwo Inków, prowadził wobec Indian bezwzględna i okrutna politykę. W 1535 r. założył Limę.

5 Santa Cruz Andrés (1792-1865) – boliwijski generał i polityk. Do 1820 r. w służbie hiszpańskiej. Następnie walczył w Peru przeciw Hiszpanii pod dowództwem Simóna Bolívara. W 1823 r. opanował Górne Peru (Boliwię). Od 1829 r. prezydent Boliwii. W 1835 r. utworzył Konfederację Boliwijsko-Peruwiańską i stanął na jej czele jako dyktator. Uporządkował prawodawstwo i szkolnictwo. W 1839 r. został obalony i wygnany. Zmarł we Francji.

6 piastr – srebrna moneta hiszpańska z początku XVI w., podobna do talara, używana później w różnych krajach Ameryki Południowej.

7 Zakon Alcántara – hiszpański zakon rycerski, utworzony w 1156 r.

8 Cezar de Bazan – postać ze sztuki Wiktora Hugo *Ruy Blas* (1838). Na podstawie tej komedii powstała operetka Dumanoira i D'Ennery'ego *Don Cesar de Bazan* (1852) i opera Masseneta *Don Cesar de Bazan* (1872).

9 Makolągwa nie występuje w Peru.

10 *tapadas* (hiszp., portug.?) – zakryte [przyp. autora].

11 *dueña* (hiszp.) – ochmistrzyni, osoba do towarzystwa (szczególnie młodych kobiet).

- 12 *Carcaman* (hiszp.) – obraźliwe przezwisko, które Peruwiańczycy nadali Europejczykom [przyp. autora].
- 13 okręt I klasy – liniowce i fregaty, w zależności od wielkości, tonażu i ilości armat, dzielono dawniej na sześć klas – liniowiec I klasy w marynarce angielskiej miał wyporność 1100-1700 ton.
- 14 Kartagena – miasto w Kolumbii.
- 15 Bahia – stan we wschodniej Brazylii.
- 16 *donaire* (hiszp.) – gracia, elegancja.
- 17 Manco Capac – legendarny, pierwszy władca i założyciel państwa Inków, syn boga Viracochy.
- 18 Annonciacion (hiszp.) – Zwiastowanie.
- 19 halsowanie – żeglowanie przy wietrze wiejącym, w stosunku do kursu statku, z boku.
- 20 Simón Bolívar (1783-1830) – bohater wojen z Hiszpanią o niepodległość krajów Ameryki Południowej.
- 21 *Señor* (hiszp.) – pan.
- 22 Chorillos – dawniej samodzielna miejscowość niedaleko Limy, obecnie dzielnica tego miasta.
- 23 Cuzco – miasto w południowej części Peru, dawna stolica imperium Inków. Jego nazwa w języku keczua oznacza “pępek świata”.
- 24 real – moneta bita w XIV-XIX w. w Hiszpanii i Portugalii, początkowo srebrna, od XVI w. także miedziana.
- 25 hidalgo – szlachcic hiszpański.
- 26 Sechura – prowincja w Peru oraz jej stolica o tej samej nazwie.
- 27 Święto Narcyza.
- 28 Równina La Platy – nizina w Ameryce Południowej, od zachodu ograniczona łańcuchem Andów, od wschodu Wyżyną Brazylijską i wybrzeżem Oceanu Atlantyckiego, na północy sąsiaduje z Niziną Boliwijską, a na południu z Wyżyną Patagońską.
- 29 Puno – miasto we wschodnim Peru, założone w 1668 r., położone na wyżynie Altiplano, na zachodnim wybrzeżu jeziora Titicaca, stolica departamentu Puno.
- 30 sążęń – miara długości wynosząca około 1,48 m.
- 31 pugilares (*przest.*) – portfel.
- 32 żarłacz tygrysi (*Galeocerdo cuvieri*) – ryba z rodziny żarłaczowatych, długości około 5-6 m, pożerająca wszystko, co znajdzie w zasięgu paszczy; bardzo niebezpieczny dla ludzi.
- 33 Brutus (85-43 r. p.n.e.), oficer i adiutant, a także przyjaciel Cezara, który obdarzał go wielkim zaufaniem, wyznaczył go na konsula, a w testamencie na opiekuna swego adoptowanego syna Oktawiana (późniejszego cesarza Oktawiana Augusta) oraz na swojego następcę w przypadku śmierci. Mimo to Brutus przyłączył się do spisku, który doprowadził do zamordowania Cezara w 44 r. p.n.e.
- 34 sztylpy – skórzane ochraniacze na nogi jeźdźca.
- 35 olstra – pokrowce na broń.